

**DEOTYMA**

BRANKI W

JASYRZE

Deotyma Deotyma

**Branki w jasyrze**

«Public Domain»

## Deotyma D.

Branki w jasyrze / D. Deotyma — «Public Domain»,

Mongolia... piękne, rozległe krajobrazy, surowy romantyzm kontynentalnego klimatu i gościnni ludzie w pięknych strojach... Podróż z lotniska imienia Czyngis-chana w Ułan Bator do Polski trwa kilkanaście godzin. A teraz wyobraźmy sobie, że tę drogę trzeba przebyć pieszo... Aby ratować przyjaciółkę z niewoli, Ludmiła wyrusza w niemal samobójczą misję, której tłem stają się najważniejsze wydarzenia polityczne w barwnej, multikulturowej Mongolii wnuków Czyngis-chana. Obcina sobie warkocze, by udawać genueńskiego pacholka, a potem sama rozporządza swoją ręką — rozkochany tatarski rycerz godzi się nawet na chrześcijański ślub. Deotyma wykazuje — być może także dzięki dwuletniemu zesłaniu w głąb Rosji, na które towarzyszyła ojcu po powstaniu styczniowym — rozległą wiedzę o historycznej cywilizacji Mongołów. Na tej podstawie buduje fabułę ze znacznie większym rozmachem geograficznym niż autor wydanego trzy lata później *Ogniem i mieczem*, który z kolei może skorzystać z doświadczeń Branek w jasyrze — bo im dalej we wschodnie stepy, „z których nikt nie wraca”, tym wyraźniej opowieść nieuchronnie zmienia się w gloryfikującą cierpienie i pełną cudów hagiografię.

© Deotyma D.

© Public Domain

## Содержание

Prolog	5
Kolce pod różami	13
Dyplomacja	18
Zamurowany	20
Nie od razu Kraków zbudowano	22
Dwór królowej Kingi	23
Rozstanie	28
Kyrie Eleison	30
Na pobojuwisku	34
Co koń wyskoczy	37
Dziesięć psota	40
Szturm	43
Piekło	45
Przy ognisku	50
Конец ознакомительного фрагмента.	55

# Branki w jasyrze

## Prolog

Jesień 1240 roku była prześliczna, prawdziwie, jak to mówią, polska jesień. Już zbliżał się święty Michał<sup>1</sup>, a drzewa jeszcze nie żółkły ani nie czerwieniały. Spostrzeżenie to uczynił pielgrzym, idący z wolna brzegiem rzeki Iłżanki. Jak okiem sięgnąć, obie strony wody szumiały ostro pachnącym, nieprzejrzanym borem. Nie była to jednak puszcza w najbliższym znaczeniu tego słowa; pod samowładnymi rządami przyrody można było gdzieś dojrzeć rękę człowieka, wywalczającą sobie bezpieczniejsze schronienie i piękny krajobraz.

Był poranek, kiedy pielgrzym przechodził koło Iłży. Pierścień wykarczowanych pól weselił duszę otwartym widnokregiem, grzędy warzywne i kwieciste bawiły oko bogactwem kolorów, drzewa owocowe, zgięte pod ciężarem plonu, przechylały się za parkany. Powietrze było pełne kurzawy i beczenia owiec. Klekotały drewniane kołatki u szyi opasłych krów, długie rzędy ulów gwarzyły brzęczącym sejmem. Wszystko się krzątało i pośpiewywało, a wśród tych błogosławieństw sam gród rozsiadł się na pochyłości góry, nad niebieskim jeziorem, rad z siebie i spokojny, bo murami opasał się od złych ludzi, a wieżami kościoła wznosił się do Boga.

Pielgrzym łamał sobie głowę, kto umiał tak mądrze to wszystko urządzić. Ale kiedy strażnik bramy miejskiej wyjaśnił z niejaką dumą, że Iłża należy do biskupów krakowskich, od razu przestał się dziwić.

Obszar pól skończył się bardzo prędko i pielgrzym wszedł znowu między czarne bory, których wówczas było tak wiele, że nikt się nimi nie zachwycał. Toteż w owych czasach karczowanie lasów było prawdziwą zasługą i najgwałtowniejszą potrzebą społecznego życia. Ile razy pień tysiącletni runął pod siekierą, nikt nie miał ochoty nad nim się rozrzewniać, a nawet byli tacy, co się cieszyli z upadku starego szkodnika, który kradł słońce i wysysał ziemię.

W lasach, które przemierzał pielgrzym, padło ich także niemało podczas torowania dróg biegnących na wszystkie strony. Jakże to były drogi, pożałuj Boże! Nikomu nawet nie przyszło na myśl, aby można było drogę wyrównać lub czymś wysypać. Stan jej zależał od pory roku, pogody i gruntu. Była zwykle bardzo wąska. Nikt nie potrzebował szerszej; wasąg<sup>2</sup> chłopski wszędzie się przeslizgnął, zimową porą zmieściły się tam saneczki. Wszystko, co żyło, jeździło konno; świeccy i duchowni, giermki i królowie, damy, nawet dzieci. A kto nie miał konia, szedł sobie jak nasz pielgrzym, podpierając się kijem i na krok nie odstępując szpary wyciętej w gęstwinie. Kto zboczył, ginął w morzu puszcзовym, a kto wiernie trzymał się dróżki, zawsze mógł być pewien, że w końcu dojdzie do zwodzonych mostów jakiegoś zamczyska albo, co jeszcze lepsze, do gościnnej furty klasztoru.

Pielgrzym już minął kilka zamków. Przed każdym chwilę przystanął. Głód i zmęczenie mu podszeptwały: może by tu wstąpić... Ale każda z tych siedzib wydawała mu się jakaś groźna i złowroźna. Czegóż mógł się lękać? Nic nie posiadał oprócz muszelek przyszytych do płaszcza i kilku medalików przypiętych do kapelusza. Nikt by się przecież nie pokusił na jego krzywy kostur ani łataną sakwę pełną suchych okrajców chleba. Był osobą wszędzie mile widzianą, tak w chacie, jak na książęcych dworach. W czasach kiedy książki stanowiły istotną rzadkość, on był chodzącą księgą, lepszą jeszcze od pisanej, bo dla każdego dostępną. Jedni uczyli się z niej polityki, inni wyciągali powieści i poezje. Bywał za górami, za morzami! Spotkał papieża, Saracenów, na własne

---

<sup>1</sup> zbliżał się święty Michał – dzień świętego Michała przypada w Kościele katolickim 29 września. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> wasąg – prosty wóz konny o burtach wyplatanych z wikliny. [przypis edytorski]

oczy widział cuda dziejące się przy grobach świętych albo znał takich, którzy je widzieli. Był na turniejach kastylijskich, a może na koronacji cesarskiej, znał melodię najnowszej ballady i wiedział, jak na obcych dworach ubierają się białogłowy. Każde odwiedziny takiego wędrowca zostawiały w umysłach ogromny zapas wiadomości, które kontemplowano powoli, bo musiały starczyć na długo.

Gdyby pielgrzym był rzeczywiście ubogi, jak się z pozoru wydawało, wszędzie wchodziłby z podniesionym czołem. Ale on posiadał skarb nieoceniony i truchłał, jak truchleje każdy, kto się nosi ze skarbem. W płaszczu miał zaszyte relikwie. A wiedział, że ludzie dla zdobycia relikwii na wiele się ważyli. Chodząc po obczyźnie słyszał, że często książęta wypowiadali sobie wojnę, aby zdobyć takie drogocенności, że używano różnych fortelów, aby je wykraść lub wyłudzić.

Pielgrzym nie bał się przydrożnych rabusiów, tych, co to pytają, gdzie kiesa, i łańcuchy z szyi zdzierają, ale bał się ludzi mądrych a przewrotnych, którzy przyjmują z otwartymi rękoma, stół zastawiają łakociami, częstują jakimś podejrzanym trunkiem, a gdy biedak uśnie jak zabity, skarby wypruwają z płaszcza, fałdy zaszywają i rano zapierają się wszystkiego.

Po południu doszedł do zameczku tak prześlicznego, że od razu powiedział sobie:

– Tu chyba sami dobrzy ludzie mieszkają.

Znużony siadł w gęstym zaroślu i zaczął się rozglądać z niewinną, ale gorącą zazdrością.

Pierwszym powodem zazdrości, jakiej doznał już na widok Hłzy i jakiej doznawał wobec każdego grodu albo zamku, było poczucie bezpieczeństwa, takie wówczas rzadkie. W epoce nieustannych napadów, zdrad, odwetów i zasadzek, tylko ten, kto mieszkał w dobrej twierdzy, mógł spać spokojnie.

Zameczek, o szarych kamiennych ścianach i pięciu basztach, już z daleka przyciągał oczy. Wznosił się dziwnie hardo na wierzchołku wzgórze. Inne wyniosłości, lasami poszycie, zlewały się za nim w jedno tajemnicze tło. W dole, między zaroślem, przebłyskiwała jakaś rzeczka, może jeszcze Hłzanka, którą podróży kilka razy tracił z oczu i odnajdywał. Z jej biegiem szła starannie wysadzona drzewami dróżka, która dalej nagłym skokiem przerzucała się na zamkową górę i żółtym wężykiem prowadziła do głównej wieży, najgrubszej i najwyższej. Jej wnętrze wypełniała sklepiona brama z bronami i łańcuchami. Na szczycie powiewała chorągiew; znak, że pan zamku wrócił z wojny lub jeszcze na nią nie pojechał. Wokół chorągwi krążył nieustannie strażnik wieżowy, jedyny ruchomy element w tym obrazie. Jego broń i trąba to znikwały, to migotały w słońcu, kiedy przesuwał się za zębatym murkiem, którym baszta u szczytu była obrębiona.

Każda z czterech wież, przykrytych strzelistymi, nierównej wysokości dachami, miała inny kształt i rozmiar. Jedna szczególnie przyciągała uwagę pielgrzyma. Była sześciokątna, prostopadle ze wzgórzem ścięta, a z jej piętra, wysoko, wysuwała się jeszcze okrągła wieżyczka, oparta na podstawie skręconej na kształt ślimaka. Z wieżyczki wybiegał półkolisty ganek, misternie dziergany w kamieniu. Na ganek wychodziło wąskie, długie okno, głęboko osadzone w murze i obramowane grubą rzeźbą, która w górze wiązała się łukiem. Tak, cała ta wieżyczka, bielejąca na ciemniejszym tle murów, wyglądała jakby kropielnica, którą zawiesił tam anioł; pod nią była tylko przepaść, a nad nią niebo.

Ale najbardziej zachwycał maleńki ogródek, rozciągający się na spadziście góry, a w nim różne zioła, zapewne potrzebne do domowej apteczki, oraz krzewy. Ta ozdoba, i to nie za murami, świadczyła, że mieszkańcy musieli od dawna żyć w spokoju. Zamek chyba od lat nie doznał oblężenia.

Wszędzie znać było staranność ręki gospodyni, tak że pielgrzym powiedział sobie:

– Musi tu mieszkać piękna i cnotliwa niewiasta.

I jakby w odpowiedzi na to przypuszczenie, strażnik wieżowy uderzył w trąbę, oznajmiając nadjeżdżających gości. Po chwili otworzyły się drzwi wieżyczki i na ganek wyszła jasnowłosa, niebieskooka i wiotka niewiasta. Miała suknię lazurową jak niebo, przy szyi wyciętą w trójkąt ze złotym brzegiem, poniżej bioder przewiązaną błyszczącym pasem ozdobionym klejnotami. Na piersiach wyszyte były dwa herby. Jej głowę okrywał płaski biret ze złotej lamy, objęty perłowym futerkiem, spod którego wysuwał się biały welonik. Drugi, pod spodem, obejmował lica i szyję, miękko jak obłoczek. Włosy jednak nie były zupełnie schowane i mimo przytulności osłonek, wiły

się przy skroniach złotymi kędziorami. Ów spodni rąbek, nazywany podwijką, i dwoistość herbu na sukni pokazywały, że pani ta jest zamężna.

Za nią wybiegło dziecko w błękitnej sukience, z włosami także jasnymi, nawet jeszcze jaśniejszymi niż u niewiasty. Bujność tych włosów przechodziła zwyczajną miarę. Pukle, starannie pozwijane aż do pasa, tworzyły wokół ramion złoty, ciągle ruchomy płaszczyk.

Na ganku było dla dwojga za ciasno. Dziecko czepiało się poręczy, więc niewiasta wzięła je na rękę i tak stojąc, oprawiona w rzeźbę wieżyczki, przypominała pielgrzymowi święte posągi, które ówczesni mistrzowie umieli tak lekko i fantazyjnie przystawiać do gotyckich filarów.

Z lasu wyjeżdżał orszak myśliwych; prowadziła go białogłowa. Niósł ją kary koń z białą strzałką na czole i szyją o łabędzich ruchach. Był ognisty, jakby stworzony dla owej amazonki, której uroda łączyła w sobie potęgę i delikatność. Pomimo postawy siedzącej widać, że niewiasta była wysoka i majestatyczna. Suknia, jakby ulana, dokładnie rzeźbiła jej kształty. Rękawy, szczelnie obcisłe, odmienne od całej sukni, mieniły się kolorową jedwabną tkaniną, która była przedmiotem rzadkim i kosztownym. Gęste brwi, długie rzęsy, grube warkocze łowczyni zdawały się sobolowe. Była przetowłosa<sup>3</sup>, bez rąbków<sup>4</sup> i białych obwiązek. Warkocze spuszczały się jak dwie wstęgi od skroni i spadały na piersi, a wokoło głowy biegł cienki, złotolistny wianuszek. Takie upięksenie oznaczało pannę. Niełatwo było jednak te szczegóły dojrzeć, bo osłaniał ją ogromny, zielony płaszcz, z kapturem nasuniętym na głowę. Płaszcz spinały pod szyją dwie klamry, a że nie miał rękawów, dziewczyna odrzuciła go na obie strony, aby uzyskać swobodę ruchów. W jednej dłoni trzymała cugle, a na drugiej, nieco podniesionej i obciążonej grubą rękawicą, siedział sokół.

Tuż za piękną łowczynią, o jakieś półtora kroku, jechał człowiek ubrany na czarno, z szarą drucianą koszulką na wierzchu, z grubym pękiem broni u pasa, z twarzą zwiędłą i posepną, a za nim kilku myśliwych odzianych brunatno, jak przystało ludziom pośledniejszego stanowiska. Uwijało się też dwóch paziów, zgrabnie opiętych w jaskrawe ubiory.

Wszyscy długim wężem zaczęli wspinać się ku zamkowi. Wtem jeden z paziów, z figlarnymi oczami i czupurnym piórkiem u czapki, dostrzegł wędrowca siedzącego w gąszczu. Skręcił konia, stanął i zaczął się przyglądać z rodzajem niedowierzania. Przybysz miał nogi założone na krzyż, a trzeba wiedzieć, że tej postawy, nazbyt wygodnej według ówczesnych wyobrażeń, używali tylko pielgrzymi i uczestnicy wypraw krzyżowych powracający z Ziemi Świętej.

Wędrowiec, widząc niepewność pazia, kiwnął głową i odezwał się:

– Tak, tak, idę z Jerozolimy, prosto od Grobu Pańskiego.

Na te słowa paź zeskoczył z konia, zaczął całować płaszcz pielgrzyma i dopytywać się:

– Jak to tam jest w tej Jerozolimie?

Ale pielgrzym nie myślał dla jednego słuchacza szafować skarbami wspomnień. Wolał sam się czegoś dowiedzieć. Zapytał, jak się nazywa zamek, kto go zbudował i do kogo należy.

– Miejsce, które widzicie, to jest Żegnana Góra albo inaczej Żegnaniec – wyjaśniał paź. – Od czego powstała ta nazwa, różnie ludzie mówią. Wedle jednych, w dawnych czasach, jeszcze za pogaństwa, stała tu świątynia, w której czarci mieli gniazdo. Ale kiedy król Chrobry sprowadził benedyktynów na Łysą Górę, zdarzyło się, że jeden z zakonników przechodził tędy nocą i zobaczył na górze gmach cały ognisty, od którego biła łuna, jakby od siedmiu księżyców. To czarci z wiedźmami tak się bawili, że od huku wszystkie drzewa się trzęsły. Benedyktyn widząc, iż wołaniem licha nie wypłoszy, przeżegnał górę znakiem krzyża świętego i wnet cały gmach zapadł się z trzaskiem, a miejsce nazwano „Zażegnanym”. Inni znowu mówią – ciągnął paź – że sto lat temu książe Henryk Sandomierski<sup>5</sup>, jadąc tędy na łowy, zasnął na tej górze, a we śnie zobaczył świętego Piotra, który go tak ogniście przeżegnał, że mu zostawił na piersiach krwawy krzyż.

<sup>3</sup> przetowłosa (daw.) – z niezwiązanymi i niczym niezakrytymi włosami. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> rąbek – daw. element stroju, chusta osłaniająca głowę kobiety. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> Henryk Sandomierski (ok. 1130–1166) – książę sandomierski, syn Bolesława III Krzywoustego. Uczestniczył w wyprawie

Jak tylko się książę obudził, zaraz domyślił się, co taki sen znaczy. Ze szkarłatnego sukna wykroił sobie krzyż i zebrawszy towarzyszy, wyprawił się na krucjatę.

Jeden z owych towarzyszy wrócił tutaj, zbudował zamek i na pamiątkę sennej przepowiedni dał mu nazwę „Przeżegnaniec”. Dziś tu mieszka wnuk, Sulisław na Żegnańcu, waleczny rycerz, pan możny i sprawiedliwy. W domu rządzi zacna żona, pani Elżbieta, ta właśnie nadobna niewiasta, która przed chwilą wyszła na ganek. Sądziła pewnie, że już wraca małżonek, ale on jeszcze zabawił w lasach. Wrócił tylko orszak panny Ludmiły, dziedziczki na Srebrnym Potoku, Białej Górze, Czarnolesiu i wielu innych włościach. Dwa rody się na niej kończą.

Sierota chowała się u norbertanek, a teraz stryjowie oddali ją pod opiekę pani Elżbiety. Czas, aby sobie wybrała małżonka, ale ona jakoś nie może się zdecydować, a prawdę mówiąc, i całemu dworowi niezbyt pilno do tej godziny, bo przy naszej pani nam dobrze, a jaki będzie pan – nie wiemy. – Paż chętnie by jeszcze opowiadał, ale podróżny mu przerwał. Dowiedziawszy się, że w zamku bawią same niewiasty, na których miłosierdzie każdy ubogi zwykł liczyć, śmielej poprosił o gościnę.

Paż oświadczył, że zapyta o pozwolenie naczelnika zamku, Ruperta, który w czasie nieobecności pana musi o wszystkim wiedzieć, i co żywo puścił się ku bramie.

Pielgrzym ukrył twarz w dłoniach i pomyślał: Czym te białogłowy zasłużyły się Bogu, że je tak bez miary obdarował? A ja, biedak, nigdy nikomu wody nie zamąciłem, a los mnie od maleńkości tak prześladowa... Z tych gorzkich rozmyślań zbudziły go obce głosy. Paż wracał podskakując, za nim szedł Rupert, w którym podróżny rozpoznał owego posępnego jeźdźca w drucianej koszulce. Dowódca załogi zmierzył wędrowca od stóp do głów, chcąc zapewne ocenić, czy nie jest to niebezpieczny włóczęga. Niesłychane trudy zamorskich pielgrzymek nadały podróżnemu wiek nieokreślony; niezatarta pańskość przebijała przez jego biedne szaty i znękane rysy i trochę go onieśmiała. Toteż jeden błysk oka wystarczył biegłemu znawcy, by ocenić gościa. Rupert zaprosił go z uszanowaniem i doprowadził pod górę.

Przeszli przez sklepioną, podpartą pękatymi słupami sień i stanęli w drzwiach długiej, wąskiej sali. W jednym jej końcu świeciło strzeliste, podobne do kościelnego okno, a w drugim otwierał się kominek, tak ogromny, że zajmował prawie całą ścianę. Z jego huczącej gardzieli, nastroszonej całą furą drzewa, buchał płomień jak z kuźnicy.

Niezmiernie miły był widok ognia. Przy niesłychanej grubości kamiennych ścian, które nigdy nie mogły ogrzać się do rdzenia, przy wąskich oknach, przepuszczających niewielką smugę światła, w zamkach najczęściej panował piwniczny chłód.

Środkiem sali biegł długi, wąski, na kozłach układany stół, wokół niego stały dębowe zydle. Na ścianach wisały rogi różnych leśnych bestii i pęki rynsztunku. Po obu stronach kominka rozpięły się ławy o wysokich oparciach, narzynane we wzory, podobne do stalli. Między nimi, przed samym ogniskiem, siedział na niedźwiedziej skórze śliczny chłopczyk i bawił się z ogromnym, czarnym psem. W środku sali, przy stole, pielgrzym spostrzegł dwie białogłowy, które teraz, na tle czarodziejskiego oświetlenia, wydawały mu się jeszcze piękniejsze. Przyjęły go z czcią należną człowiekowi, który własnymi stopami dotknął Golgoty.

I on też, jako doświadczony bywalec, umiał od razu ująć niewieście serca. Kiedy stanął przed chłopczykiem, oświadczył, że jak żyje, nie widział takich pięknych włosów, czym wielce pogłaskał macierzyńską dumę Elżbiety. Ludmile przypatrywał się uporczywie, aż w końcu się zmieszala. Wtedy zaczął ją przeproszać, wyznając na swoje usprawiedliwienie, że mu dziwnie przypomina regentkę Francji, sławną Blankę Kastylską<sup>6</sup>, którą przed rokiem miał szczęście oglądać w Paryżu. A że cały świat wiedział, jakim Blanka była uosobieniem urody i rozumu, piękna łowczyni zarumieniła się i dziękując skinęła głową.

---

krzyżowej w 1154 roku. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> *Blanka Kastylska* a. *Blanka Kastylijska*, hiszp. *Blanca de Castilla* (1188–1252) – córka Alfonsa VIII, władcy Kastylii, żona króla Francji Ludwika VIII. [przypis edytorski]

Po takim wstępie wszystko poszło gładko. Wprawdzie Rupert stał ciągle przy drzwiach i swoją posepnością gasił zgromadzenie, ale w sali byli też inni, pogodniejsi domownicy, z białymi wąsami i poczciwymi twarzami. Poufałe, czasem i krotochwilne słówka, wtrącane przez nich do rozmowy, dowodziły, że to dom, w którym służba oprócz chleba otrzymuje serce...

Najstarsza ochmistrzyni, w siwym kozuszk, obwiązana białymi chustami, siadła w kącie, by prząść kądziel, ale zdaje się, że przez cały czas trzymała ją nieruchomo; tak była zapatrzona w pielgrzyma. Wkrótce weszła dziewczyna ze srebrną miednicą pełną wody pachnącej lawendą. Mężczyzna z rozkoszą umył ręce i wytarł je w biały, lniany, wykończony prześlicznym haftem ręcznik. Po czym sama pani zamku podała mu złocistą czaszę pełną cypryjskiego wina. W końcu zaproszono go do stołu. Miejsce miał zaszczytne, w najwyższym rogu. Obie panie usiadły po dwóch stronach. Nic nie jadły, ale częstowały jak należy. Zaczęły od pytania: czy gościowi wolno spożywać mięso i łakocie? Okazało się, ku zadowoleniu gospodyni, że nie jest związany żadnym nadzwyczajnym postem, bo jego pielgrzymka nie była pokutą, ale ślubem złożonym w nieszczęściu. I powoli zaczął opowiadać swoje dzieje...

– W niemowlęctwie straciłem matkę. Wychowywał mnie bogaty ojciec w potężnym zamku. Pewnej nocy sąsiad, odwieczny wróg rodu, napadł na zamek, zamordował ojca, a włości zagrabił. Tułałem się po kryjówkach, szukałem pomocy u możnych, ale że było to na Mazowszu, pod rządami księcia Konrada<sup>7</sup>, u którego nikt nie mógł dostąpić sprawiedliwości, odtrącano dziecko, które nie miało czym zapłacić ani jak odsłużyć.

Na wzmiankę o księciu Konradzie obie panie smutnie pokiwały głową i zamieniły znaczące spojrzenie.

– Otóż – ciągnął pielgrzym – widząc, że u ludzi nic nie wskóram, zwróciłem się ku Ojcu niebieskiemu. Ślubowałem, że pójdę aż do Jeruzalem na intencję, aby mi kiedyś zwrócono ojcowiznę. I poszedłem. I oto jestem z powrotem. Ja zrobiłem swoje, a teraz – dodał – zobaczmy, czy Pan Bóg zrobi swoje. – Słowa te brzmiały hardo, ale tchnęły ślepym zaufaniem w opatrność.

Pani Elżbieta dołała gościowi wina i z westchnieniem rzekła:

– Ach, na ludzi trudno liczyć. Księżę Konrad w najlepsze jeszcze gospodarzy i podobno coraz większe sieje zgorzenie. Ale dla Boga nie ma rzeczy niemożliwych. On i ze skały żywy źródło wyprowadzi. – To powiedziawszy, zawahała się przez chwilę i zamilkła, wstrzymując na ustach jakieś pytanie.

Elżbieta była ciekawa (i nie tylko ona), z jakiego rodu pochodzi podróżny. Jego wspomnienia świadczyły, że ród był szlachetny. Nie wymienił go ani razu! Czy z chrześcijańskiej pokory? A może z dumy? Wstydził się swojego poniżenia? W każdym razie gościnność i poszanowanie dla nieszczęścia nie pozwoliły Elżbiecie zadać tego pytania.

Tymczasem gość używał posiłku sownie, chociaż bardzo powoli. Po jagłach i rzepie, jakimi go najczęściej karmiono, niezwykle mu smakowały białe, rozpluwające się w ustach kuraki, dziczyzna suto przyprawiana korzeniami, a nade wszystko placek przekładany miodem i udekorowany jagodami, do którego roboty sama pani zamku się przyznała.

Po krótkiej modlitwie dziękczynnej panie podprowadziły gościa do kominka, ławę wysłały kobiercem, niedźwiedzią skórę podsunęły mu pod nogi, a same siadły naprzeciwko. Kapelan zamkowy, ciekaw wieści z Ziemi Świętej, zajął miejsce przy gościu, na ławie z kobiercem. Nawet mały Jaś, ośmielony pochwałami, zostawił czarnego Burka i zajął się kapeluszem wędrowca.

W sali przybywało słuchaczy. Panienci służebne wsunęły się cichutko i zajęły miejsca pod ścianami, przyszło też kilku kuchcików i żołnierzy, a reszta przez otwarte drzwi wsadzała ciekawskie

---

<sup>7</sup> Konrad Mazowiecki (ok.1188–1247) – współrządca w Małopolsce, na Mazowszu i Kujawach, następnie władca innych licznych ziem, między innymi ziemi chełmińskiej i kujawsko-mazowieckiej. Znany ze sprowadzenia do Polski zakonu krzyżaków. [przypis edytorski]

głowy. Przy mroku ogarniającym salę całe to zgromadzenie byłoby prawie niewidzialne, gdyby nie szmery uwielbienia, podziwu lub strachu, którymi tłum się zdradzał, słuchając pielgrzyma.

Bo też niesamowite opowiadał rzeczy! O sławnym sułtanie Saladynie<sup>8</sup>, który był tak pobożny, że i w podróży, siedząc na wielbłądzie lub jadąc konno na bitwę, czytał Koran. Mówił także, jak to teraz na Wschodzie łatwo zdobyć królestwo.

– Korony rosną tam jak grzyby. Pewien prosty rycerz pojechał na krucjatę i nie wraca, nie wraca. Żona w głowę zachodzi, chce już za jego duszę na mszę ofiarować, nie ma czym dzieci żywić, a tu zjawia się od męża poseł z wiadomością: „Żono kochana, zabieraj się z dziećmi i przyjeżdżaj co żywo. Zostałem cesarzem Trebizondy<sup>9</sup>”.

Słuchacze otwierali usta, a ich oczy błyszczały z zazdrości. Ale kiedy zaczął opowiadać o mękach, jakie znoszą nieszczęśliwi pielgrzymi od synów piekielnego Mahometa, o trzęsieniach ziemi w Palestynie, o dziwnych owocach, rosnących nad Morzem Martwym, które są podobne do soczystej gruszki, a po nadgryzieniu usta zasypują popiołem, o Tatarach<sup>10</sup> i Mongołach<sup>11</sup>, którzy myślą całą ziemię zawojować, wtedy wszyscy jęknęli, nawet Jaś, wypuściwszy z ręki kapelusz, wlepił w pielgrzyma osłupiałe oczęta.

Mieszkańcy zamku słuchaliby do nocy tych opowieści, ale pielgrzym zobaczył przez okno czerwono zachodzące słońce; czym prędzej zerwał się ku wyjściu, bo został mu jeszcze porządny kawał drogi do klasztoru, w którym miał spędzić noc i z przeorem radzić o swej przyszłości.

Ruszyli się wszyscy, a pierwsza pani zamku, aby spakować pożegnalne dary. Rozczulony pielgrzym nie wiedział, jak dziękować i czym się odplacić. Zdarł ze swego ubrania muszelkę dla Jasia, domownikom dał kilka poświęconych krzyżyków i cały czas zastanawiał się, co ma ofiarować paniom? Na szczęście przyszła mu do głowy dobra myśl. Sięgnął do zanadru i wydobył małą paczuszkę. Wszyscy zaglądali ciekawie, a on powoli, ostrożnie odwijał płatek po płatku, aż wyjął gałązkę, zupełnie martwą, szarą jak ziemia, zwiniętą w kłębuszek.

– Czym można was obdarzyć, moje zacne i urodzive dobrodziejki? Czegóż wam brakuje? Macie wszystko, czego ciało i dusza zapragnie. Macie życie usłane różami... – zawiesił głos na chwilę, jakby czekał na potwierdzenie ze strony dobrodziejek. Ale one nie wyrzekły ani słówka. Podniosły ku niemu wzrok żałosny, wyraźnie przeczący. – Słyszałyście kiedy o róży jerychońskiej? – zapytał pielgrzym.

– A juści, to podobno kwiat Matki Boskiej – odezwało się kilka nieśmiałych głosów.

– Tak, to jest kwiat Matki Boskiej, kwiat niebiański. Otóż to jest właśnie róża jerychońska. Taka, jaka rośnie na ziemi, ale tylko na Ziemi Świętej, pod Jerycho<sup>12</sup>, którego mury rozpadły się na dźwięk trąb Jozuego.

Byłem tam. Na własne oczy widziałem kamienie, leżące jeszcze w poczerniałych kupach. Wokół miasta – pustynia. Gdzieniedzie kępami rosną palmy. Wszędzie piasek, żółty jak złoto, a na piasku leżą takie oto różyczki. Tę, którą widzicie, własnymi rękami wyjąłem, a nie trudno wyjąć, bo ten kwiat wcale nie wrasta w ziemię. Na wierzchu tylko trochę trzyma się piasku, zaczepiony łądyżką jak haczykiem. Toteż lada wiatr go wrywa i roznosi po Ziemi Świętej. Nie zawsze miał taką nazwę. Dawniej to był kwiat Ewy, matki rodzaju ludzkiego. Powiadają, że kiedy cherubin,

<sup>8</sup> *Saladyn* (1138–1193) – założyciel sunnickiej dynastii Ajjubidów, rządzącej w latach 1174–1342 ziemiami na pld. wybrzeżach Morza Śródziemnego i terenami wokół Morza Czerwonego. Cieszył się dobrą sławą w Europie, szanowany przez krzyżowców jako godny przeciwnik w walkach o Jerozolimę. [przypis edytorski]

<sup>9</sup> *Trebizonda* a. *Trapezunt*, dziś *Trabzon* – miasto nad brzegiem Morza Czarnego, dziś w pln.-wsch. części Turcji, dawniej stolica Pontu. [przypis edytorski]

<sup>10</sup> *Tatarzy* – tu: grupa plemion koczowniczych żyjących w średniowieczu na terenach Mongolii, siłą podporządkowanych przez Czyngis-chana. W Polsce od XIII do XVIII w. nazwa ta oznaczała koczowniczych najeźdźców ze wschodu (początkowo byli nimi Mongołowie, później Tatarzy Krymscy). [przypis edytorski]

<sup>11</sup> *Mongołowie* – jeden z ludów Wielkiego Stepu, dominujący w XIII-wiecznym imperium mongolskim, uważanym do dziś za drugie co do wielkości państwo świata, ustępujące tylko imperium brytyjskiemu. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> *pod Jerycho* – dziś popr. forma odmienna: pod Jerychem. [przypis edytorski]

uzbrojony mieczem gorejącym, wypędzał pierwszych rodziców z rajskiego ogrodu, biedny Adam był tak przygnębiony, że już na nic nie patrzył. Szedł z oczami wlepionymi w ziemię, więcej podobno żałując straconej łaski Pana Boga niż wszystkich skarbów Edenu. Ale zapobiegliwa Ewa koniecznie chciała coś zabrać na nowe gospodarstwo. Nie było łatwo! Cherubin patrzył ognistymi oczami. Jednak tuż przy samej bramie rajskiej uszczknęła jedną małą różyczkę, którą schowała w dłoni...

Róża, przesadzona z raju na ziemię wygnania, straciła całą krasę, skurczyła się i zupełnie uschła. Jednak nie pozbyła się swej nieśmiertelności. Rosła dalej, ale szara i karłowata.

Po wielu tysiącach lat Maryja i Józef wracali z Egiptu. Jezus, biegając po pustyni, zerwał kilka martwych gałązek. Siadł przy drodze i zaczął pleść z nich koronę dla matki. A gdy pomyślał, że to grzech sprawił śmierć owego kwiatka i że przyjdzie go na krzyżu odkupić, to na płacz mu się zebrało. Boskie łzy upadły na gałązkę i stał się cud. Róża ożyła w mgnieniu oka. Pojawiły się liście i kwiaty. I kiedy Jezus włożył matce na głowę koronę, to już zieloną i kwitnącą. Odtąd cud się powtarza, bo w rękach Pana Jezusa klątwa grzechu pierworodnego ustała nad kwiatem i nad ludźmi. Już nawet nie potrzeba łez, ale kilka kropel wody, żeby róża ożyła.

– Jak to wody? Zwyczajnej wody?

– Tak! Patrzcie, tę gałązkę zerwałem przed dwoma laty. Wszak zeschnięta jest jak wiór. Gdy włożycie ją w miseczkę z wodą, zobaczycie, co się stanie!

– No, co? Co? – pytano dokoła.

– Nie upłynie połowa, ale gdzie tam, ćwierć dnia, a ten wiórek zmięknie, pokurczone gałązki się wyprostują i rozwiną w szeroki krzaczek. Teraz można go schować w dłoni, a potem dwiema rękami ledwie się go zakryje. Gdy wyjmiecie go z wody, uschnie. Włożycie po raz drugi, znowu się rozwinie. Tak samo będzie za rok, za dziesięć lat, za sto, zawsze.

– A to dziwne! Niepojęte! – wołali słuchacze.

– Proszę dobrodzieja – wtrąciła ochmistrzyni – a nie lepiej tę różę zasadzić na grządce albo włożyć w doniczkę?

– A, moja matulu – odparł pielgrzym z uśmiechem – to nie byłaby sztuka. Na grządce lub w donicy każde ziele wyrośnie. A tu chodzi o rzecz cudowną! Ta róża nie jest kwiatkiem ziemskim, więc nie trzeba jej ziemi. Wystarczy, aby kilka kropel przypomniało jej łzy Jezusowe, a budzi się, jakby wskrzeszona. W tym kwiatku jest wielka dla nas pociecha; umiera i zmartwychwstaje. Pokazuje, czym jesteśmy i czym zostaniemy. Dawniej kwiat Ewy, dzisiaj kwiat Maryi!

Nastało milczenie. Po chwili przerwała je piękna łowczyni:

– Jeszcze chciałabym coś wiedzieć... Mówiliście, że róża, włożona w wodę, robi się jak żywa i podnosi gałązki. Ale czy wypuszcza świeże listki, czy kwitnie?

– O... to cud rzadszy – odpowiedział pielgrzym z wahaniem. – Jednak słyszałem, że i to się trafia. Kiedy Matka Boska chce komuś okazać wielką łaskę, pozwala, aby róża wypuściła listki i białe kwiaty. Ale taka łaska jest bardzo rzadka. Błogosławiony ten dom, w którym róża jerychońska zakwitnie – rzekł pielgrzym, wręczając Elżbiecie gałązkę. – Oby wam zakwitła i przyniosła szczęście!

Kiedy minął bramę i znalazł się za mostem, znowu usłyszał trąbę z wieży. Rozejrzał się na wszystkie strony, aby znaleźć przyczynę owego trąbienia i u stóp góry dostrzegł myśliwych, tłumnie wysuwających się z lasu.

Na czele jechało dwóch wspaniałych mężów; jeden w czerwonym, drugi w białym płaszczu. Wiatr czasem igrał z ich połami, a wtedy można było rozeznac uzbrojenie jeźdźców; u lewego boku świeciły długie, szerokie miecze, z rękojeścią w krzyż, a u prawego wisiały kołczany, w tej chwili puste. Polowanie musiało być udane.

Za nimi podążali dwaj giermkowie, trzymający pańskie włócznie i łuki, dalej strzelcy i obławnicy, w kozuszkach i włochatych skórach. Jedni mieli proce, topory, długie noże, inni proste oszczepy w ogniu osmalone. Było ich tak wielu, że pierwsi już zaczęli wspinać się pod górę, gdy ostatni dopiero wyjeżdżali z kniei.

Pielgrzym nie miał ochoty spotykać się na wąskiej dróżce z tyloma jeźdźcami, którzy mogliby go stratować. Postanowił zejść z góry inną drogą i szukając jej, zaczął krążyć wokół zamku.

Nagle usłyszał jakieś łkanie. Przystanął nasłuchując, skąd ów płacz pochodzi. Wyraźnie szedł od strony zamku. Ciekawość zwyciężyła. Wszedł na wały i przyczajony pod krzakami zaczął wodzić wzrokiem po murach, które sterczały tuż nad rowem. Teraz poznał: głos pochodził z wąskiego, wysokiego okna. Okiennica była otwarta. Pielgrzym, dobrze wpatrując się w kratę, mógł z łatwością poznać wnętrze. Była to ta sama sala, w której go przyjmowano i z której przed chwilą wyszedł.

Nieopodal okna obie dobrodziejki siedziały na krzesłach podobnych do tronów biskupich. Ludmiła oparła głowę na piersiach Elżbiety i zanosila się od płaczu. Tamta starała się ją uspokoić, jednak ciężko jej to przychodziło, bo i z jej oczu spadały perliste łzy.

– Co to wszystko znaczy? – dziwił się pielgrzym. – Czym te białogłowy mogą się martwić? Pewnie małżonek odmówił jakiegoś klejnotu albo rycerz zgubił wstęgę panny, a te zaraz, jak to białogłowy, w płacz. Nie umieją cenić darów bożych. Zadne, hojne, śliczne, ale cóż po tym, kiedy smutne. Szczęście je popsuło – oto cała rzecz. – Wzruszył ramionami i chciał o tym zdarzeniu zapomnieć, ale nie mógł. Już wszedł w ciemne lasy, już dzwonił do furty klasztornej, a jeszcze powtarzał: – Jak mi Bóg miły, nie rozumiem, dlaczego te białogłowy płaczą.

## Kolce pod różami

Pan zamku, Sulisław na Żegnańcu, był człowiekiem bez zarzutu. Nie rozbijał się, nie prześladował swoich dłużników, nie oszukiwał wierzycieli. Co wieczór, modląc się głośno, zanosił do Boga jedną tylko prośbę, żeby mu pozwolił umrzeć nie w łóżku, ale w szczyrim polu, za kraj i za wiarę.

Miał więc pan na Żegnańcu piękne i rzadkie przymioty, miał też i niejedno „ale”. Umiłowanie karności sprawiło, że w stosunkach z ludźmi był twardy, a w bliższym pożyciu trudny. Drżała przed nim żona, domownicy, żołnierze i włościanie. Ale Sulisław, porównując się z wielu gorszymi od siebie, sądził, że i tak jest aż nadto łaskawy dla tego „nędznego świata”, co tyle dobrodziejstw doznał od jego rodu, a tak mało potrafił je cenić.

Chłubił się dziadem, który z Henrykiem Sandomierskim jeździł na krucjatę, chlubił się ojcem, mężnie walczącym z Jadźwingami i Prusami. Zamknięty w ciasnym kółku rodzinnych wspomnień wyrobił sobie przesadzone pojęcie o znaczeniu i ważności swojego domu. Chyba tylko Piastom dawał pierwszeństwo. Nie lubił życia dworskiego, gdzie potężniejsze rody dobijały się zaszczytów. Wolał siedzieć w zamku; tu nikt nie odważył się przyćmiewać wielkości swego pana.

Kiedy się ożenił z Elżbietą, zaczął nieznacznie popuszczać cugli. Sam nie dostrzegał tej zmiany i nikt nie śmiał się z niej głośno cieszyć, w obawie, aby wszystkiego nie popsuć. Elżbieta wydawała się istotą lekliwą, zahukaną, zajętą jedynie pełnieniem mężowskiej woli. Było w niej tyle ciepła i spokoju, że wkrótce otoczyła się atmosferą, w której bezwiednie wszystkie serca miękły. Mąż powoli odkrywał w niej coraz to szacowniejsze zalety: wykształcenie, pracowitość, gospodarność... Na koniec odkrył trafność sądów, nawet w sprawach trudnych. Nieraz potajemnie zasięgał jej rad, i zawsze dobrze na tym wychodził. I tak w żegnanieckim zamku dni płynęły pogodnie. Aż do przyjazdu Ludmiły.

Dwóch stryjów, podstarzałych i bezzennych, którzy na Mazowszu słynęli z odwagi i hulaszczego życia, przysłało Ludmiłę do Żegnańca. Byli oni przyjaciółmi księcia Konrada. Od młodości wszystko z nim dzielili; złe i dobre. Ścinałi łby pogańskie Prusakom, szamotali się z Piastowiczami – tymi, co nie chcieli ich kochanego Konrada uznać najwyższym panem, uganiłi się za żubrami i niedźwiedziami w nieprzebytej Puszczy Wiskickiej, a w zamku plockim bawili żonę Konrada, sławną księżnę Agazję, która była piękna, ponętna i okrutna jak rzymska imperatorowa.

Na nieustannych bitwach, obławach i biesiadach życie schodziło stryjom całkiem wesoło i byłiby zupełnie z tego świata zadowoleni, gdyby nie jedna troska, która się ich z dziwnym uporem trzymała. Wiecznie im brakowało pieniędzy.

Dopóki żył ojciec Ludmiły, człowiek nadzwyczaj bogaty, a przy tym mądry i gospodarny, w każdej trudnej sytuacji zwracali się do niego. Mogli nawet mieć nadzieję, że ich los się odmieni; zanosilo się na lepszą przyszłość. Ojciec Ludmiły miał kilku synów, którzy zmarli w dzieciństwie. Została tylko córka. Stryjowie nie życzyli nikomu śmierci, dobrze jednak wiedzieli, że gdyby po najdłuższym życiu „kochany bratunio” w drodze na tamten świat ich wyprzedził – mogliby, zgodnie z prawem, jedynaczkę wyposażyć ruchomościami i gotówką, a sami zagarnąć wsie, zamki i całą spuściznę. Jednak ojciec Ludmiły tak skrzętnie zbieranego majątku nie miał ochoty oddawać w ręce marnotrawnych braci. Po stracie kilkorga dzieci całą miłość, dumę i marzenia złożył w jedynaczkę. Sporządził obszerny testament, gdzie za wiedzą i zgodą księcia Leszka Białego wszystkie swoje włości zapisał ukochanej córce, po czym zaczął dla niej upatrywać małżonka, co mógł czynić długo i z rozmysłem, bo Ludmiła była jeszcze dzieckiem.

Ale nim oblubienica dorosła, nim nad wyborem oblubieńca zastanowił się ojciec, przysłała po niego śmierć i dziewczyna została bez ojca i matki, tylko pod opieką stryjów, którzy sierotę umieścili u norbertanek w Witowie, a sami zajęli się gorliwie zarządzaniem majątku.

Wolę ojcowską znali wszyscy i przez dwór książęcy była zaakceptowana. Stryjowie nie mogli się jej sprzeniewierzyć; postanowili przynajmniej w pełni korzystać z lat opieki. Jednak mimo nowych

dróg do bogactwa, mimo nie przebierania w tych drogach, jeszcze nie mogli oczyścić własnych rachunków. Jeden zwłaszcza dług okrutnie im doskwierał. Zaciągnęli go niegdyś u Zyndrama z Czerwonej Rudy, rodzzonego brata Sulisława z Żegnańca.

Zyndram był potomkiem Kaina. Nie zadowalały go, jak stryjów Ludmiły, hulanki i popisy czczej odwagi; on lubił walkę – dla mordy, sprawy pieniężne – dla oszustw, przewrotności i zdrady. Pastwienie się nad innymi nazywał słusznym zwycięstwem siły nad słabością, a rozumu nad głupotą. W epoce powszechnych zamieszek nietrudno było znaleźć pole dla takich upodobań, a że swój swego i w korcu maku wyszuka, przyłączył się do szajki Bolesława Łysego, który tak nadokuczał ludziom, że go przezwano „rogatym diabłem” lub „Rogatką”.

W tej chwili Bolesław nie miał jeszcze tak osławionego imienia; był bardzo młody i rozpoczął swoją złą sławę od różnych rabusiowych wypraw. Zyndram pomagał mu całą duszą.

Brat Sulisława był wdowcem. O tym wdowieństwie krążyły różne wieści. Mówiono, że śmierć jego żony nie była przypadkowa; że lochy jego zamku pełne są więźniów, a pan chętnie bawi się w kata. Niektórzy twierdzili nawet, że duszę zaprzedał Belzebubowi za złoto; bo jak człowiek, który nie gospodarował, tylko służył nie panującemu jeszcze księciu, mógł rok rocznie nowe wsie do dawnych przyłączać i do swego skarbczyka coraz to cięższe skrzynie zwozić?

Stryjowie Ludmiły, przy jakiejś wspólnej uczcie, poprosili Zyndrama o pożyczanie ośmiuset grzywien, które nie wiadomo kiedy w ich rękach stopniały. Wkrótce Zyndram zaczął się o dług upominać, nastawać, grozić, a groźby jego to nie były żarty. Ale pewnego wieczora, znów przy wspólnej uczcie, słysząc o wielkiej urodzie Ludmiły i jeszcze większych jej majątnościach, pan na Czerwonej Rudzie zaproponował:

– Dajcie mi – rzekł – waszą synowicę za żonę, a ja zapomnę o wszystkim. Wasz dług w jej posagu przyjmę i już nic sobie nie będziemy winni.

Pomysł niezmiernie spodobał się stryjom. Przystali, ledwo kryjąc radość tryskającą im z oczu. Wytargowali nawet jakąś drobną dopłatę za trudy opieki. Zyndram, zapalony opisem wdzięków i bogactw dziedziczki, chciał jak najszybciej zakończyć transakcję. Podano sobie ręce, kilkakrotnie potwierdzając obietnicę i tak na pijackiej uczcie został rozstrzygnięty los sieroty.

W każdym innym razie stryjowie odkładaliby zameście Ludmiły. Teraz, napierani przez niecierpliwego Zyndrama, postanowili co prędzej zabrać ją z klasztoru. Pozostało tylko pytanie, gdzie ją tymczasem umieścić i urządzić swaty? Młodszy stryj miał ochotę zawieźć ją na dwór księżnej Agazji. Starszy zadrzał na myśl, aby gołąbkę wepchnąć w gniazdo węzowe i zapytał, czy nie byłoby najstosowniej oddać ją pod opiekę brata Zyndrama, Sulisława, i jego przezacnej małżonki. Dom był szanowany, a Zyndram u brata mógł bez przeszkody widywać swoją przyszlą żonę.

Niespodziewanie stryjowie pojawili się w witowskim klasztorze, zabrali zdumioną Ludmiłę i z licznym, prawdziwie pańskim orszakiem zawieźli do Żegnańca. Tam, po kilku dniach wesolej gościny, pewnego poranka zamknąwszy się na osobności z panem domu, oświadczyli uroczyście, że Zyndram poprosił o rękę synowicy, a oni, stryjowie i opiekunowie, zgodzili się na ten związek. Teraz już tylko przychodzi prosić o pozwolenie Sulisława, który będąc starszym bratem oblubieńca, też ma prawo głosu.

Sulisław z radością przyjął tę wiadomość; nie wahając się, dał swoje braterskie przyzwolenie. W głębi duszy niesłychanie odpowiadał mu ten układ, co spokrewnieniem z chlubnymi imionami i wniesieniem ogromnych bogactw pomnażał świetność rodu i zarazem zapewniał bratu szczęście. Nie zastanawiał się, czy brat na to zasługuje. Trzeba też dodać na usprawiedliwienie Sulisława, że nie miał jasnego pojęcia o zasadach i postępkach brata. Zyndram od wczesnej młodości rozpoczął zbrojną włóczęgę i dawno zszedł rodzinie z oczu. Osiadł gdzieś w Wielkopolsce. Przez całe lata nie utrzymywał kontaktów z bliskimi. Sulisław, zagospodarowany w swoim Żegnańcu, niewiele wiedział o bożym świecie, a jeśli czasem w obozie lub od kogoś z przejezdnych usłyszał o bracie jakąś niepochlebną wieść, brał ją za potwarz i kładł na karb zawiści, jaką, według niego, pałały do nich inne możliwe rody. Uważał, że jego rodzinnym obowiązkiem jest bronić brata przed wszystkim i

pomimo wszystko. Dzisiejszy wypadek utwierdził go w szacunku dla Zyndrama; możliwość zawarcia tak świetnego związku wydała mu się jeszcze jednym dowodem, na to, jak ludzie wysoko go cenią.

Gładko więc i jednomyślnie załatwiono sprawę. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło, aby się pytać o zdanie Ludmiły. Prawie wszystkie stała kojarzyły się za pomocą takich rodzinnych umów i zaocznych swatań. Jednak bywają wyjątki.

Wyjątkowy był charakter Ludmiły i wyjątkowe jej położenie. Bardzo wcześnie utraciła matkę. Wychowana pod wyłącznym kierunkiem rycerskiego ojca, rozwijała w sobie siły fizyczne i duchowe.

Wojny krzyżowe w wielu kobietach rozbudzały bohaterstwo. Sławna rycerka, Małgorzata, długo kierowała obroną Jerozolimy przed Saladynem, a gdy wróciła do Europy, okazało się, że zabrała ze sobą tylko hełm, procę i psalterz. Piękna Floryna, córka księcia burgundzkiego, zginęła na polu chwały w Palestynie, walcząc u boku narzeczonego, Swenona, królewicza duńskiego. Ludmiła słyszała o rycerkach krzyża i zazdrościła im serdecznie.

Jakże zmienił się dla niej świat od chwili śmierci ojca, jakże grobowym wydał się jej w murach witowskiego klasztoru! Porażona stratą, z początku uważała to miejsce za stosowne dla swej boleści. Nowe dla niej, czysto kobiece zajęcia skracaly nieco czas, jednak nigdy nie potrafiła się do nich przyzwyczaić. Robota szła opornie, czytanie jeszcze oporniej. Zaczęły mniszki robiły, co mogły, aby nauczyć ją abecadła. A kiedy wyszła z pierwszego osłupienia, gdy jeden rok i drugi minął głucho, czuła niepokój w głębi piersi, jakby trzepotanie źle związanych skrzydeł. Zaczęła niezmiernie tęsknić do szumiących lasów, do szalonego pędu koni, do wolnego powietrza, do przeszłości i przyszłości. Mimo przestróg swoich wychowawczyń, była ciekawa życia, jego uciech i niebezpieczeństw, a nawet cierpień.

Toteż odetchnęła radośnie, gdy ją przewieziono do Żegnańca. Tam jednak czekało ją rozczarowanie. Życie w zamku niewiele różniło się od klasztorowego. Sulisław, wiedząc, że jest obiecana Zyndramowi, nie miał ochoty, by pokazywała się światu. Cały czas spędzała w towarzystwie jedynej przyjaciółki i powierniczki, Elżbiety. Przyłgnęła do niej całą duszą. Uczestniczyła we wszystkich zajęciach; troszczyła się o Jasia, opiekowała biednymi i nieszczęśliwymi, a nawet, o dziwo, po kilku miesiącach gładko czytała księgę ozdobioną złocistymi klamrami.

Pewnego dnia niezwykle ruch powstał w zamku. Sulisław czynił wielkie przygotowania na przybycie dawno niewidzianego brata. Wreszcie zjawił się Zyndram, w licznym poczcie, z brzękadłami u koni, w złoconym stroju. Na jego obliczu odbijał się obraz duszy. Fałszywe oczy i rysy twarzy czyniły ją podobną do głowy drapieżnego ptaka.

Po wieczery, przy której małymówny gość wprawiał Ludmiłę w zakłopotanie natarczywością roziskrzonych spojrzeń, obaj bracia siedli przed kominkiem i dopijając resztę zawartości dzbana, weszli w poufałą pogawędkę.

Sulisław nieśmiało przekazywał bratu przykre wieści, jakie o nim krąży. Zaklinał go, aby się ustatkował, aby zazdrosnym sławnym rodem nie dawał broni do ręki. Zyndram oblał się ceglany rumieńcem; mimo że nauka pochodziła od starszego brata, przyjął ją z najwyższym oburzeniem. Sulisławowi podobala się taka reakcja, wziął ją za znak niewinności fałszywie oskarżonego. Skończyło się na braterskich przeprosinach ze strony Sulisława, po czym nieco ułagodzony Zyndram przystąpił do sedna sprawy, do głównego powodu swoich odwiedzin.

Ludmiła sprostala jego oczekiwaniom, była nawet jeszcze piękniejsza, niż mówiono. Teraz pozostało tylko urządzić dom na przyjęcie żony i zakończyć rachunki ze stryjami, a potem wrócić już prosto na wesele. Wspomniał o darowanym długu, ale tylko mimochodem, jakby o dobrym uczynku, którym nie wypada się chwalić.

Sulisław, zadowolony i uspokojony, uznał, że właściwie już teraz może Ludmiłę powiadomić o jej przyszłym losie. Nazajutrz po śniadaniu, gdy Zyndram wyszedł do koni, gospodarz został sam na sam z paniami. Dawno już nie widziano go w takim humorze. Cały czas stroił żarciki, przedrzeźniał panienkę weselnymi przymówkami, na koniec wstał, ukłonił się z rycerską powagą i oświadczył, że to wcale nie są żarty, albowiem opiekunowie Ludmiły wybrali Zyndrama na jej małżonka, z którego

to związku on, brat i przyszły szwagier, wielce się cieszy i chlubi. Po czym jeszcze raz złożył ukłon i zwrócił się ku wyjściu, nie oczekując żadnej odpowiedzi.

Ludmiła stanęła w płomieniach, zerwała się, wyprostowała jak cięciwa i rzekła z gorączkowym drżeniem w głosie:

– To nie może być prawda... Ja nie mogę, ja nie chcę być żoną waszego brata... – urwała przestraszona, widząc przepaść, w jaką spada, i wybuchnęła gwałtownym płaczem.

Piorun trzaskający u stóp Sulisława nie zdziwiłby go bardziej niż ta odpowiedź. Zbladł i wyjąkał niewyraźnym głosem:

– Panna nie chcesz iść za mojego brata? – Spojrzał na żonę. Elżbieta struchlała. Widziała, że została zraniona jego rodowa duma, najculsza struna duszy, jedyna, której nie można było zadrasnąć. – Co to znaczy? – zapytał zwracając się do żony. – Doprowadźże ją do opamiętania, inaczej ciężko odpowiesz przed Bogiem, i przed mężem. Ja takich słów bratu nie powtórzę! Nadto mnie i jemu ubliżają, a przy tym i z miłosierdzia nie powtórzę! Srogo panna mogłaby je w przyszłości opłacić – powiedział i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, aż zadzwoniły puchary na półkach.

Elżbieta podeszła do płaczącej, zapytując łaskawie, ale z głębokim zdziwieniem, o przyczynę jej zachowania. Ludmiła padła do jej kolan, oparła o nie głowę i zaczęła się zwierzać. Opowiedziała o Zyndramie wszystko, a wiedziała wiele strasznych rzeczy, może więcej, niż zdarzyło się naprawdę.

Między witowskimi mniszkami znajdowała się rodzona siostra pierwszej żony Zyndrama. Norbertanka twierdziła stanowczo, że jej siostra zginęła śmiercią tragiczną, i to z rąk męża. W Witowie uwierzono norbertance, a ta, pod wpływem rozżalenia, opowiadała o Zyndramie niesamowite rzeczy. Jego postać urosła w klasztorze do groźnej legendy i Ludmiła wychowała się w postrachu tego imienia. Kiedy w Żegnańcu powiedziano jej, że Zyndram jest bratem Sulisława, przelekła się i zmartwiła szczerze. Jednak przez uszanowanie dla gospodarza domu o niczym nie wspomniała. Ale teraz, kiedy tego zabójcę i potępieńca, który duszę piekła zaprzedał, chciano jej przeznaczyć na męża, teraz już nie mogła milczeć.

Elżbieta, wysłuchawszy długiego opowiadania Ludmiły, uśmiechnęła się niedowierzająco. Właściwie nie знаła przeszłości Zyndrama. W żegnanieckim zamku nikt nie śmiał mówić o nim takich rzeczy, zapewniała więc Ludmiłę, że wieści muszą być fałszywe. Radziła jej pokorę i cierpliwość, pocieszała, jak mogła. Jednak zwierzenia dziewczyny zostawiły w jej sercu niepokój...

Sulisław dotrzymał obietnicy, nie rzekł ani słówka bratu, który po kilku tygodniach, wypełnionych ucztami i polowaniami, odjechał spokojny o serce i posąg nadobnej dziedziczki.

Ludmiła w dzieciennym niedoświadczeniu odetchnęła z ulgą. Zdawało się jej, że byle zyskać na czasie, a wszystko samo się odmieni. Przyjdą nowe swaty, pan domu się rozmyśli, słowem zajdzie jakiś cudowny wypadek, który ją wyzwoli z tego nie chcianego małżeństwa.

Zyndram przyjechał po raz wtóry z jeszcze większą pompą, z bogatymi darami dla swej przyszej żony. Dumna dziedziczka nawet nie spojrzała na nie. Niechęć do ofiarodawcy była tak widoczna, że oblubieniec, mimo zarozumiałości, nie mógł jej przeoczyć. Zdumiony zapytał brata o jej powód, a ten, chcąc nie chcąc, musiał go powiadomić o złej woli dziewczęcia. Czynił to nieśmiało, przekonany, że Zyndram wpadnie w szalony gniew. Tymczasem ten uśmiechnął się i odpowiedział:

– To jeszcze lepiej. Kot lubi długo bawić się z myszką, zanim ją złowi. Uciec mi przecież nie ucieknie!

Tymczasem Ludmiła właśnie planowała ucieczkę. Panowie prawie co dzień polowali. Dziewczyna nigdy nie miała ochoty uczestniczyć w tych wyprawach, ale pewnego wieczoru uległa namowom Zyndrama. Wielka obława miała się odbyć następnego dnia. Ludmiła całą noc nie zmrużyła oka; nazajutrz postanowiła zrealizować swój plan, korzystając ze zwykłego zamieszania w trakcie łowów. Ze starym sługą ojca, Rafałem, który z nią przybył do Żegnańca, chciała nieznacznie wymknąć się manowcami i uciekać do Krakowa, do króla. Co prawda było to śmiałe przedsięwzięcie, ale w bajkach opowiadanych przez nianie takie rzeczy zdarzały się niejednej królownie.

Wreszcie zaświtał dzień. Ludmiła dosiadła konia gorączkowo rozweselona. Początki łowów szły rażno; Sulisław cieszył się, że dziewczyna przewyciężyła dzikość, a Zyndram tylko dziwnie się uśmiechał. Około południa, kiedy zapał myśliwych dosięgnął szczytu, gdy wszyscy rozbiegli się i potracili z oczu, Ludmiła skinęła na starego sługę.

– Jedź za mną – rzekła i nie tłumacząc niczego, puściła konia w cwał.

Od dzieciństwa była przyzwyczajona do harcowania w puszczy, toteż zręcznie poruszała się w gęstwinie. Już nawet nie chodziło jej o żaden wytknięty kierunek; pragnęła znaleźć się jak najdalej od zamku i dopiero tam wypytać o drogę do stolicy. Popędzała konia, jak mogła najostrej, ale gałęzie, pniaki i leśne zakręty utrudniały drogę, a wierzchowiec nauczony łagodnej jazdy, przy całej swej piękności, posiadał niewiele siły. Dziewczyna stwierdziła z przestachem, że jego szybkość nie odpowiada jej wymaganiom.

Zyndram, uderzony chorobliwą wesołością Ludmiły, zaczął zastanawiać się nad przyczyną tej nagłej przemiany. Od rana ją śledził. Trzymał się nieopodal, nie spuszczał jej z oka. Kiedy na koniec dostrzegł, że obrała wręcz przeciwny kierunek do prądu łowów, skinął na brata.

– Ludmiła chce uciec. Tylko patrz!

– E... nie, musiała zablądzić, spostrzeże się i zawróci – odparł Sulisław. Ale kiedy lasy się skończyły, a ona wciąż gnała, ogarnął go niewymowny gniew.

Ludmiła usłyszała za sobą głuchy tętent. Bała się obejrzeć. To już nie był jeden koń Rafała, lecz dwa, trzy...

– A gdzie to? – Sulisław ściągnął cugle. – Panna uciekasz od nas? A to pięknie! Jeszcze nigdy taka obelga nie spotkała mojego domu!

Zyndram żelazną prawicą chwycił jej rękę. Ścisnął tak okrutnie, że aż ból przeniknął ją do kości.

– Wszystko to kiedyś będzie odpłacone! – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Ludmiła miała dosyć odwagi na zaplanowanie i zrealizowanie ucieczki, ale nie była przygotowana na porażkę. Zmieszała się; gwałtowny rumieniec potwierdził domysły mężczyzn. I chociaż później starała się wszystko obrócić w żart, panowie zawrócili konia i wieźli ją między sobą w złowróbnym milczeniu. Wkrótce spotkali oddział strzelców, którym Sulisław powierzył dziewczynę.

– Odprowadźcie pannę do zamku, bo zmęczona – powiedział głośno pan na Żegnańcu, a Rupertowi szepnął: – Nie spuszczaaj oka z tej dziewczki, odpowiesz mi za nią!

Było to ogromne upokorzenie. Ludmiła została odesłana jak krnąbrne dziecko, które psuje zabawę. Nie chciała wobec tylu świadków poniżyć się do sprzeczki. Oddaliła się z głową podniesioną, jakby wracała z własnej woli. Dopiero w zamku, w objęciach Elżbiety, uderzyła w płacz i wyznała wszystko.

– Ach, drogie, nieostrożne dziecko, czemu się mnie nie poradziłaś? – Były to jedyne słowa napomnienia, które wyszły z ust Elżbiety. Wzruszona i zmartwiona zgryzotą dziewczyny, nie potrafiła robić jej wyrzutów.

Niewiasty postanowiły nie rozpamiętywać tego, co już się stało. Zaczęły radzić między sobą, co tu dalej robić, kiedy nagle rozmowę przerwała niespodziewana wiadomość. Rupert oznajmił, że przed bramą stoi pielgrzym proszący o gościnę. Spojrzały na siebie wyraźnie niezadowolone. Lubiły gości, ale ten przychodził nie w porę. Jednak nie wypadało odpędzić pielgrzyma, zwłaszcza takiego, który wędrował z Ziemi Świętej. Elżbieta kazała co prędzej zaprosić podróżnego, a do Ludmiły szepnęła:

– Trudno. Przyjmijmy tę przeszkodę. Może nam to zostanie policzone i dobrą myślą natchnie?

Rozjaśniły, jak mogły, czoło i przyjęły gościa. Żadne jednak wysiłki nie zdołały rozpędzić smutku. Opowiadania o dalekich krajach, zwykle za krótkie dla słuchaczek, dziś dłużyły się im jak wieczność. Kiedy pielgrzym odszedł, wybuchnęły dotąd tłumionym płaczem. Uciekły do swego ustronia, truchlejąc na myśl o powrocie zagniewanych panów.

## Dyplomacja

Sulisław nie chciał nawet patrzeć na dziedziczkę, a kiedy został tylko z żoną, zaczął gorzko wyrzucać jej obojętność i beczynność w sprawie Ludmiły.

– Jeszcze nigdy taka obelga nie spotkała mojego domu! – powtarzał. – Czy ta dziewczyna ma nas uczyć rozumu, nas, posiwiiałych na polu i w radzie? Czyż to nie wiemy, co jest najlepsze dla szczęścia i świetności rodów? Dlaczego nie odpowiadasz? Milczy i milczy, jakby z tamtą trzymała...

– Nie gniewaj się, mężu mój i panie. Milczę, bo mam wyrzuty sumienia. Nie wiem, czy to, co czynimy, zgadza się z wolą boską. Słuchaj! Gdyby ktoś ci powiedział, że w czarnym lochu jęczy sierota zakuta w łańcuchy, co prędzej włożyłbyś rynsztunek, chwycił włócznię i na skrzydłach poleciał, aby ją ratować, bo przysięgałeś, że będziesz bronił sierot, wdów i pokrzywdzonych. Otóż ja biję się z myślami, czy przymus duszy nie jest czasem cięższy od łańcuchów? Kiedy sierota czuje się skrzywdzona, choćby nie miała słuszności, jej głos mnie trwoży... Ja nie chcę rozsądzać... Ty, jako mąż, lepiej wszystko rozumiesz. Mam przeczucie, że ten związek nie przyniósłby nam szczęścia... Będę się modlić, może Pan raczy oświecić moje myśli – powiedziała z nadzieją w głosie, zostawiając męża nie tyle zagniewanego, co zaniepokojonego.

Elżbieta rozumiała położenie Ludmiły. Wiecznie pochylona nad krosnem sprawiała wrażenie, że tylko dobiera jedwabie, a tymczasem uważnie słuchała. Z przelotnych słówek zgadywała skryte myśli, zestawiała na pozór odrębne zdania. Rozmówcy sami przyczyniali się do tego, że rozjaśniło się jej w głowie. Zyndram, uważając ją za istotę, z którą nie warto się liczyć, kilka razy zdradził się niebaczными słowami. W końcu Elżbieta odgadła, że wieści zasłyszane przez Ludmiłę musiały zawierać wiele prawdy. Sulisław powiedział o darowaniu długu. Sądził, że podniesie brata w oczach żony, a dla niej właśnie ten szczegół stał się promieniem rzucającym niespodziewane światło na całą tę sprawę. Zrozumiała, że swaty stryjowskie były po prostu zwykłym handlem zamiennym. Wzdrygnęła się na myśl, że oni, uczciwi ludzie, mieliby maczać ręce w takim niecznym spisku.

Od dawna to rozumiała i od dawna roniła skryte łzy, ale nie śmiała mówić ani działać z obawy przed mężem, z obawy o spokój w rodzinie. Modliła się żarliwie, prosząc Boga o pomoc. Wreszcie usłyszała wyraźny wewnętrzny głos: „Nie bój się, stań w obronie Ludmiły”.

Rano skropiła wonnościami złote włosy, przyozdobiła się najpiękniejszymi szatami, łańcuchami i rąbkami i w pełnym blasku weszła do sali.

Sulisław był prawym człowiekiem. Jak tylko znalazł się ktoś, kto potrafił otworzyć mu oczy, uznał swoje zaślepienie. Gryzł się myślą, że użyto go za narzędzie w nieczystej sprawie, a gryzł się tym więcej, że nie wiedział, jak zło naprawić.

– I co tu teraz zrobić? Zabrneliśmy za daleko... Za długo czekałaś z radami. Dałem słowo stryjom Ludmiły, dałem słowo Zyndramowi. Zapytają mnie, i słusznie, dlaczego je cofam? Pięknie, że ujmujesz się za bezbronną sierotą, ale pomyśl, że trzeba też ocalić sławę domu, chociażby dla syna. Jakże to wszystko pogodzić?

– Nie troszcz się tak bardzo, mój kochany. – Elżbieta oparła piękną dłoń na jego ramieniu. – Wszystko biorę na siebie. To się da naprawić; w takich sprawach Bóg pomaga.

– Być może – odparł Sulisław – ale pamiętaj, że ludzie mogą przeszkodzić. Stryjowie Ludmiły właśnie teraz wybrali się do Krakowa. Onegdaj odebrałem od nich pismo, w którym donoszą o wyjeździe. Chcą od króla co prędzej otrzymać pozwolenie na to małżeństwo i otrzymają, nie wątpię. Pamiętaj, że będą mieli za sobą głos księcia Konrada. Nie znam nikogo na świecie, kto by miał powód albo ochotę przeszkadzać w tej sprawie. Jeśli dostaną pozwolenie, to już wszystko przepadło.

– Czy wiesz – rzekła po długiej chwili namysłu Elżbieta – co mi przyszło do głowy? Jest sposób... Mój brat, ksiądz Maciej, donosi mi z Wrocławia, że także jedzie do Krakowa, gdzie ma towarzyszyć księciu Henrykowi. A gdybym i ja się tam wybrała? Mogę pojechać niby dla spotkania z bratem, którego rzeczywiście od dnia naszego ślubu nie widziałam. Taka podróż nikogo nie zdziwi.

Może przy boskiej pomocy wszystko się pomyślnie ułoży. Może odmowa tego związku wyjdzie nie od nas i nie od Ludmiły, ale wprost od samego króla?

Suliśław przeszedł się kilka razy po komnacie.

– Mądry pomysł, nie ma co mówić! – Stał przed żoną i dodał głosem, w którym odnalazła kroplę goryczy: – Weź ze sobą dziewczynę. Niech zostanie przy swoim dostojnym opiekunie. Nasz zamek niegodzien takiej dziedziczki, co z niego ucieka... Nieszczęsna godzina, w której ta dziewczyna weszła pod mój dach.

Wieczorem Elżbieta odbyła długą rozmowę z Zyndramem. Usunięcie przeszkód, przynajmniej chwilowe, poszło jej łatwiej, niż sądziła. Zyndram od kilku dni wyczuwał jakiś chłód w stosunkach rodzinnych. Zmianę tę przypisywał Ludmile i drżał, by w końcu nie przekabaciła Suliśława. Pobyt w zamku stawał się dla niego coraz bardziej nieprzyjemny. Wszyscy od niego uciekali. Postanowił zmienić szyki i przyspieszyć sprawę u króla. Kiedy Elżbieta zaczęła mu opowiadać, jak to byłoby mądrze z jego strony, gdyby teraz spróbował innej drogi, zechciał zostawić Ludmile nieco czasu na przemyślenie wszystkiego, Zyndram oświadczył, że taki właśnie miał zamiar i że nie myśli gwałtem brać żony. Nazajutrz opuścił zamek, obiecując sobie prędko powrót, ze stryjami, pismem królewskim i co najważniejsze, z dobrze uzbrojonym hufcem.

Ludmiła o mało nie odeszła od zmysłów z radości na widok odjeżdżającego Zyndrama i na wiadomość, że Elżbieta wywozi ją do stolicy pod opiekę króla.

Rozpoczęto przygotowania do podróży. W drodze do Krakowa każdej z pań towarzyszył liczny orszak, za którym szły objuczone konie i fury ze skrzyniami pełnymi najpiękniejszych strojów.

## Zamurowany

Ksiądz Maciej aż się rozpląkał z radości na widok siostry. Bardzo żałował, że nie może jej ugościć. Mieszkał na zamku z orszakiem księcia Henryka Pobożnego<sup>13</sup>, a Elżbieta wołała na razie nie pokazywać się na dworze. Razem z Ludmiłą zatrzymała się w mieście u znajomych. Postanowiła nie przedstawiać się na dworze, dopóki dobrze nie zbada gruntu. Nie wyjaśniła bratu prawdziwego celu swojej podróży. Przez kilka dni słuchała jego opowieści o życiu dworskim i tak, bez żadnych szczegółowych pytań, wkrótce dowiedziała się wszystkiego!

Ksiądz Maciej, okrągłuchny prałat o dobrotliwym uśmiechu i dowcipnych oczach, miał złote serce dla ludzi prostych i biednych. Przy tym w pajęczy sposób chwycił ludzkie przewrotności. Był też biegły w polityce; Henryk Pius<sup>14</sup> i jego ojciec, Henryk Brodaty<sup>15</sup>, nieraz zasięgali jego rad w trudnych przedsięwzięciach.

Z opowiadań wynikało, że stryjowie Ludmiły bawili w Krakowie już od tygodnia. Ksiądz Maciej wiecznie ich widział w otoczeniu króla. Obecność księcia Henryka, ojca Bolesława Łysego<sup>16</sup>, zwiększała niebezpieczeństwo.

– Kto posiada największy wpływ na króla? – zaczęła podpytywać Elżbieta.

– Jedyłą istotą, która ma wpływy bez granic, jest młodziutka królowa Kinga<sup>17</sup> – oznajmił ksiądz Maciej. – Księżę ją nie tylko miłuje, ale czci z rodzajem nabożeństwa. Zrobiłby wszystko, aby ją pogodzić z doczesnością. A ona, choć jeszcze nie umarła, więcej żyje w niebie niż na ziemi.

Elżbiecie błysnęła myśl. Poprosiła brata, aby umożliwił jej spotkanie z królową. Ksiądz Maciej wywnioskował, że siostra musi mieć jakąś ważną sprawę, ale sam mając wiele sekretów, potrafił szanować cudze. O nic nie pytał, niczym nie wprawił jej w zakłopotanie. Gorliwie zajął się otrzymanym zleceniem. Już nazajutrz wieczorem przybył z radosną wiadomością.

– Kochana siostruniu, masz się stawić jutro przed południem o godzinie dziewiątej. Spotkasz się sam na sam z królową. Możesz iść śmiało, bo cię tam dobrze przedstawiłem i sądzę, że niezgorzej będziesz przyjęta.

Przesiedział cały wieczór z paniami, bawiąc je rozmową. Opowiadał o składach najlepszych bławatów i złotogłowiów, objaśniał, na jakiej ulicy mieszka złotnik wyrabiający najwykwintniejsze pierścienie i kolczyki.

– Nie dosyć zwiedzić gmachy Krakowa – stwierdził ksiądz Maciej – obejść jego kamienne świątynie. Są tu żyjące kościoły, dusze osobliwe, którym trzeba się z bliska przyjrzeć. Na przykład ojciec Paweł; Paweł-pokutnik, Paweł-prorok, cały Kraków go zna. Może zauważyliście, przechodząc koło kościoła świętego Wojciecha, małe okienko, przy którym zawsze jest pełno ludzi. Otóż ten osobliwy człowiek przed dziesięciu laty kazał się tam zamurować. Żyje tylko z datków, jakie mu pobożni ludzie do okienka przynoszą. Latem i zimą w celi tak małej, że ledwo może się obrócić, między kamieniami zzieleniałymi od wilgoci, bez ognia, w jednej, nigdy nie zmienianej sukni, na dawno zgniłej słomie, zupełnie jakby żywcem w grobie. Ile razy widziałem ojca Pawła, przez kilka dni nie mogłem spokojnie jeść wieczerzy ani zasnąć na wygodnym łożu...

---

<sup>13</sup> *Henryk Pobożny* a. *Henryk Pius* (ok. 1201–1241) – książę śląski, krakowski i wielkopolski. Poległ w bitwie pod Legnicą. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> *Henryk Pobożny* a. *Henryk Pius* (ok. 1201–1241) – książę śląski, krakowski i wielkopolski. Poległ w bitwie pod Legnicą. [przypis edytorski]

<sup>15</sup> *Henryk Brodaty* (ok. 1168–1238) – książę wrocławski, opolski, kaliski, władca Ziemi Lubuskiej i książę krakowski. Założyciel tzw. monarchii Henryków Śląskich. [przypis edytorski]

<sup>16</sup> *Bolesław Łysy* a. *Bolesław II Rogatka* (ok. 1223–1278) – książę krakowski, następnie książę południowo-zachodniej Wielkopolski i Śląska, później legnicko-głogowski, syn Henryka II Pobożnego. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> *królowa Kinga* (1234–1292) – córka króla Węgier Beli IV, żona polskiego władcy, Bolesława V Wstydliwego, święta Kościoła katolickiego. (Formalnie Kinga była księżną, nie królową). [przypis edytorski]

Kiedy ksiądz Maciej odszedł, Ludmiła podbiegła do Elżbiety i szepnęła:

– A więc jutro?

– Tak, jutro... Czy wiesz, Ludmiłko, co mi przyszło do głowy? Chciałabym poprosić ojca Pawła o modlitwę. Może mi wyprosi odwagę i natchnienie? Musimy tam pójść bardzo rano, póki jeszcze ludzie nie tłoczą się przy okienku...

Nazajutrz wstały raniutko. Przy świetle kaganka włożyły obuwie, ciepłe suknie i futrzane szubki, bo ranny mróz mocno ścinał powietrze. Zakryły twarze woalkami i wyszły z pacholkiem, który niósł przed nimi pochodnię. Ulice nie były puste, jak się spodziewano z powodu wczesnej godziny.

Adwentowe roraty zbudziły wielu mieszczan. Gromadki otulonych ludzi przesuwwały się w mroku ciasnych uliczek z głuchym szmerem przy blasku czerwonych pochodni. Oświetlenie kłóciło się z widokiem nieba, które z jednej strony jeszcze mrugało zimowymi gwiazdami, a z drugiej już majaczyło niebieskawą szarością świtu. Na tym tle spiczaste dachy i drewniane ganeczki wspinały się strzelistymi kształtami i majaczyły w powietrzu.

– Jakie to wszystko osobliwe, piękne jak sen! – westchnęła Elżbieta.

Weszły na uliczkę okalającą kościółek świętego Wojciecha. Łatwo rozpoznały celę; przybudówka wyglądała jak nabrzmiałość muru. Na ścianie wisiał wizerunek Pawła Pustelnika, a nad nim lampa, tak umieszczona, aby światło padało prosto w okienko. Był to pomysł kilku pobożnych mieszczek, które chciały rozjaśnić pustelnikowi długie zimowe noce.

Elżbieta i Ludmiła podeszły nieśmiało do okna. Przez otwór kraty wsunęły koszyk z jedzeniem i dwoma srebrnymi monetami. Koszyk wciąż stał w kamiennym wyżłobieniu; pustelnik nie sięgnął po niego. Zaniepokojone niewiasty zaczęły spoglądać do środka. Długo nie mogły niczego dojrzeć. Spuszczając oczy coraz niżej, zobaczyły śnieżnobiałą brodę, aureolę srebrnych włosów rozwichrzonych nad czołem i dwa łuki białych brwi, spod których patrzyły przerażającej głębokości oczy. Pokutnik siedział na ziemi, owinięty białym kożuchem, oparty o ścianę, nieruchomy jak kamienny posąg. Pierwsza odezwała się Elżbieta z wielką pokorą:

– Przychodzę prosić, ojcze... Módl się za nas... Potrzebna nam pomoc w trudnym przedsięwzięciu... – zamilkła, oczekując znaku albo słowa.

– Dobry ojcze – dodała Ludmiła drżącym głosem – ty widzisz przyszłość... Uspokój nas... Powiedz, czy to przedsięwzięcie szczęśliwie się zakończy?

Pustelnik wstał, wyrósł na kształt kolumny i podszedł do kraty. Wpatrzył się przenikliwie to w jedną, to w drugą. Potem podniósł oczy do nieba i rzekł przytłumionym głosem:

– Gdybyście wiedziały, co was czeka, nie troszczyłybyście się o dzień dzisiejszy. Miłujcie się w Panu, albowiem On złączył wasze dusze jedną cierniową gałązką. Jako Izrael czterdzieści lat błąkał się na pustyni, taki i wasz los. A kiedy wrócicie, nie poznacie ani nieba, ani ziemi, ale odnajdziecie skarb utracony.

## Nie od razu Kraków zbudowano

W kościele odezwał się dzwonek; rozpoczynała się msza. Elżbieta i Ludmiła, rozdawszy ubogim jałmużnę, weszły do środka i zatopiły się w modlitwie tak strzelisto lecącej ku niebu, że wnętrze niskiej świątyni wydawało się za ciasne.

Kościółek świętego Wojciecha był przerobiony ze starej pogańskiej kontyny. Pod ołtarzem jeszcze przechowywano popioły ogniska, które niegdyś palono na cześć bogini Niji. Ugasił je św. Wojciech święconą wodą. Elżbieta przymknęła oczy. Marzyła o świątyni tak wysokiej, aby jej szczytu nie można było dojrzeć, która miałaby filary plecione z giętkich niebotycznych lilii, mury z przejrzystych klejnotów i błękitne sklepienie w gwiazdy.

Właśnie taka świątynia powstawała nie opodal. Kościół Wniebowzięcia Panny Maryi zadziwiał ogromem. Budowę rozpoczęto czternaście lat temu. Mury podciągnięto pod tymczasowy drewniany dach, trudny jeszcze do uchwycenia okiem, bo zewsząd okratowany ogromnym rusztowaniem. Zabierano się właśnie do ogromnych czworobocznych podstaw pod wieże, które miały być do siebie podobne jak bliźniacze siostry, bo też ich budową kierowali dwaj bracia, mistrzowie sztuki mularstwa. Nie byli pierwszymi; wielu do tej pracy wzywał założyciel świątyni, biskup krakowski, Iwo Odrowąż.

Poza kościołami i główną częścią zamku cały Kraków był drewniany. Dla Pana Boga i królów krakowianie zdobywali się na kamień lub tak modną cegłę, sami jednak woleli po staroświecku żyć w modrzewiowych i sosnowych dworach. Wprawdzie każdy pożar stanowił dla nich zagrożenie, ale dworaki miały dwie nieocenione pod niebem północnym zalety, były suche i ciepłe. Wszystkie domostwa z fantazją odwracały się od siebie pod najśmielszymi kątami. Właściwe ulice jeszcze nie istniały; były to jakieś wąskie przesmyki i węzły, które spletały się na kształt siatkowych żyłek. W godzinach rannych panował tu ruch i gwar nie do opisania. Ludmiła, która nigdy nie widziała dużego miasta, była zupełnie odurzona. Stawała przed każdym domem i szeroko otwierała oczy. Mieszczanki, otulone kożuchami, rażno wracały z targu. Za nimi szły dziewczki, które niosły kosze z czosnkiem, rybami i chudymi postnymi struclami. Bogate panie, zakapturzone, w kamelinowych szubach podszytych kunami albo popielicami, jechały konno.

Elżbieta i Ludmiła z trudem przeciskały się przez tłum. Przed nimi szedł pacholek z pochodnią i torował drogę, rozpychając ciżbę. Ale w pewnej chwili mocne pięści przestały wystarczać; na skrzyżowaniu uliczek jakaś przeszkoda zatamowała przejście. Niewiasty podeszły bliżej i spostrzegły ogromny wóz z materiałami do budowy kościoła Panny Maryi. Leżały na nim cegły, belki, a na wierzchu rzeźby, misterne krzyże, korony i palmy do ozdoby filarów. Przed wozem szedł diakon z wysokim krucyfiksem. Po obu stronach stąpali bracia, seniorowie budowy. Jeden był jasnowłosy, pogodny jak poranek, drugi jak noc czarny i posępny. Nie było koni ani wołów. Ze sto osób różnego stanu, płci i wieku, zaprzęgniętych rzędami do długich i grubych lin, ciągnęło wóz, śpiewając litanie. W pewnym momencie, na zakręcie uliczki, koło zaczęło o narożnik. Cały stos materiałów szczęknął i zadrżał. Jeden mały element rzeźbiarski upadł tuż pod stopy Elżbiety i Ludmiły. Była to cierniowa korona wyrżnięta z szarego kamienia. Rzuciły się ku niej, delikatnie wzięły ją w dłonie i z szacunkiem położyły na wozie. Jeden z budowniczych, ten jasnowłosy, spojrzawszy na nie łagodnymi jak niebo oczami i skłoniwszy głowę powiedział:

– Dziękuję w imieniu Najświętszej Pani!

Wóz ruszył i zniknął na zakręcie. Przejście było wolne.

– A więc i my przyłożyłyśmy rękę do świętego dzieła! – zawołała radośnie Ludmiła.

– Tak, to prawda, ale ten znak potwierdza słowa ojca Pawła – westchnęła Elżbieta. – Bóg nas łączy cierniową gałązką, i to jeszcze kamienną!

– Tym bardziej będziemy się kochać – powiedziała wesoło Ludmiła, przyspieszając kroku.

Wkrótce znalazły się w domu. Szybko zjadły gorącą polewkę. Dochodziła dziewiąta; zbliżał się czas audiencji u królowej.

## Dwór królowej Kingi

Sala była wielka i ciepła. Kamienne wnętrza ozdabiały grube normandzkie tkaniny, a w głębi, na frontowej ścianie, wisiał kosztowny arabski kobierzec, tak zwany saracynowy, który nie tylko chronił od chłodu, ale bawił oczy fantazyjnymi arabeskowymi motywami. W zagłębieniach pułapu, między snycerszczyzną dębowych belkowań, gnieździły się srebrne orły. W oknach, zasiatkowanych ołowianymi obrączkami, widniały szybki z zielonkawego szkła, które mimo śnieżnej zamieci rzucały na salę majowe światło. Od czasu do czasu strojni pacholeta przyklękali przed kominkiem, a nabrawszy czerwonych węgla na łopatki, nosili je po sali. Sypali bursztyn i drzewo sandałowe, którego niezwykle żywiczny aromat nasycał powietrze zapachem lasu.

Zgromadzenie było osobliwe. Monarchinie i panny dworskie, wystrojone jak święte obrazy, a między nimi prości chłopcy w kozuchach, z koszykami i jagniętami na ręku, przy nich panicze, ubrani suto jak do ślubu, a pod kominkiem staruszek podobny do żebraka, ubogi, siwy, oparty na kijku, ze złotą aureolą nad głową.

Na stole, w fałdach purpurowej poduszki, leżało Dzieciątko z ogromnym złotym kołem wokół główki.

Nadchodziły święta. Królowa ze swoim dworem organizowała jasełka. Wszystkie krakowskie kościoły przedstawiały takie widowiska, a mieszkańcy miasta prześcigali się w ich przystrajaniu. Królowa postanowiła, że jasełka w katedrze wawelskiej muszą być najpiękniejsze. Już kilka miesięcy temu zamówiła u snycerzy drewniane posągi, przedstawiające Dzieciątko, Maryję, świętego Józefa, pasterzy, Trzech Króli, Heroda ze śmiercią i cały chór aniołów.

W głębi sali, pod arabskim kobiercem, stał duży stół hebanowy, wysadzany perłową masą. Księżna Kinga przywiozła go z wyprawą. Była to pamiątka po matce, cesarzównie bizantyjskiej. Przy nim stały cztery tronowe krzesła ze stopniami i baldachimami. Na jednym z nich, pod ścianą, siedziała księżna Grzymisława, matka panującego księcia, wdowa po Leszku Białym. Niegdyś hoża i dorodna, teraz smutna i przybita troskami. Cera jej zwiędła, poźółkła, włosy posiwiały i choć nie skończyła pięćdziesięciu lat, wyglądała na matronę. Wdowi strój dodawał jej powagi. Przymrużając powieki, szyła czerwony kaftan dla Heroda, którego tułów leżał pod tronem. Obok niej siedziała księżna Kinga. Niedawno szesnasty rok zaczęła, a już jej umysł równał się z klerykami, a nieugiętym hartem duszy służyła za wzór rycerzom. Na dworze ojcowskim odebrała staranne wychowanie. Piękność jej była tak słynna, że nawet dziejopisarze nie potrafili o niej milczeć. Nic dziwnego, wszak pochodziła z ziemi węgierskiej, a przy tym po matce odziedziczyła urok Greczynki. Przed nią, na hebanowym stole, stał anioł w niebieskim ornacie, z tęczowymi skrzydłami i „grał” na skrzypcach. Królowa splatała dla niego wianek ze stokrotek i co chwila mu go przymierzała. Wianek był za duży, spadał aniołkowi na szyję, a wtedy, mimo wszelkich dworskich manier, panienki wybuchały srebrzystym, niepohamowanym śmiechem.

Panny, w kwiecistych jasnych sukniach i wieńcach na głowie, przygotowywały pracę dla starszych, bardziej doświadczonych kobiet. Czasem same coś upięły lub zszyły. Młodzieńcy podawali nożyce. Jeden z nich ofiarował się nawlec igłę, a robił to tak nieudolnie, że stał się powodem żartów, przekomarzań i śmiechu.

Jedyną panną cichą i załęczoną była Ludmiła, która zachowywała się pewniej na koniu w szczerym polu niż na dworskich kobiercach. Wprawdzie królowa przyjęła ją łaskawie, ale Ludmiła jeszcze nie wiedziała, jak król ją powita. Poza tym w sali znalazł się ktoś, kogo dawno nie widziała. Jego obecność odebrała dziewczynie całą odwagę. Michał Przedwojowic dowiedział się, że po świętach na zamku wawelskim ma się odbyć turniej. Ta wieść ściągnęła go do Krakowa. Przyszedł prosić, aby jego imię wpisano w poczet walczących, i właśnie wtedy spostrzegł Ludmiłę. Nagle w progu wysokich drzwi stanął zakonnik w brunatnym habicie, przepasany powrozem, z twarzą młodą, ale zwiędłą i przejrzystą jak przydymione topazy królowej.

– A! Braciszek Benedykt! – zewsząd rozległy się radosne okrzyki.

Elżbieta podniosła ręce w geście powitania i szepnęła: – Władzio! – Jej twarz oblał rumieniec, nikły jak na kwiecie jabłoni. Ale braciszek Benedykt nie pokłonił się nikomu. Podeszedł do Dzieciątka, leżącego na purpurowej poduszce, i powiedział:

– Bądź uwielbiona, moja Dziecino. Chciałaś zakosztować głodu i chłodu, by osobiście się przekonać, czym pachnie bieda. Teraz ludzie kładą ci szkarłaty pod głowę, ale w Betlejem tak nie było, tam cię kłuła słoma. – ucałowałszy drewniane nóżki, potoczył oczami po sali. Zbliżył się do monarchiń i zaczął przeproszać. – Wybaczcie, łaskawe panie, że najpierw wam się nie pokłoniłem, ale musiałem przywitać się z Królem królów, kiedy go tu zastałem. – Nagle zatrzymał oczy na Elżbiecie. Wzruszenie błysnęło na jego dobrotliwej twarzy. Po chwili zgąsło; mnich opanował się i rzekł wesoło: – A! Siostrzyczka Elżbieta! Przepraszam, może już się nie godzi nazywać siostrzyczką?

– A czemuż by się nie godziło? – odparła Elżbieta. – Wszak to najświętsza nazwa, tym bardziej, że ten, którego żartem nazywałam braciszkiem, teraz naprawdę nim został.

– Więc wy się znacie? – zapytała królowa.

– A jakże! Ojciec pani Elżbiety, świeć panie nad jego zacząną duszą, był moim dobroczyńcą. Chowałem się w jego domu, miłowałem ich wszystkich jak syn i brat rodzony...

– Ładny mi brat! – przerwała z uśmiechem Elżbieta. – Niech sobie wasza królewska mość wyobrazi, że pewnego dnia, bez powodu, jak syn marnotrawny wyszedł z domu. Nawet nie chciał poczekać na moje wesele. I jak wyszedł, tak nie wrócił. Od owej chwili lata upłynęły. Dziś dopiero po raz pierwszy go widzę.

– I cóż to się stało? – zaciekała się księżna Grzymisława.

– Co się stało? Co się stało? – pomrukiwał braciszek. – No, jeśli już kogo pytać, to nie mnie. Po ślubach zakonnych człowiek zupełnie zapomina o przeszłości, jakby ręką odjął. Starsi mnie tu przysłali – zmienił temat – do króla w sprawie kościoła, jaki nam, z łaski swojej, stawia. Gdzie król jegomość?

– Tylko go patrzeć! – rzekła królowa.

– Tak – dodał ksiądz Maciej – książęta za chwilę skończą naradę. Przesiedziałem tam parę godzin, ale jak ze spraw śląskich przeszli do Tatarów<sup>18</sup>, wymknąłem się pierwszy, bo już mam tych Tatarów po uszy.

– Ażeby wreszcie przyszli! – zawołał Przedwojowic. – Byśmy ich raz wytłukli i przestano by nas nimi straszyć, jak straszy się dzieci obdartym dziadem.

– Ja myślę, że wszystko skończy się na gadaniu – wtrącił jakiś młodzieniaszek. – Przecie to dzicz niesforna, dobrze im wojować z Pieczyngami<sup>19</sup> i innymi dzikusami, ale z rycerstwem chrześcijańskim nie ośmielą się stanąć oko w oko. Od dzieciństwa słyszę: idą, idą, a do tej pory ich nie widać!

– Są blisko – westchnęła księżna Kinga. – Listy z Węgier przynoszą groźne wieści. Coraz to jakiś ksiązę rusiński zjawia się tam, błagając o ratunek albo przynajmniej o schronienie... Dwór mego ojca jest pełen takich wygnańców, którzy straszne rzeczy opowiadają...

Wszyscy zamilkli.

– Dziś rano idę sobie najspokojniej do mszy służyć – przerwał ciszę młody giermek – a tu na progu katedry jeden z dziadków kościelnych zachodzi mi drogę. Był przerażony i błąd jak trup. Powiedział mi, że o północy dziwne rzeczy się działy. Słyszał płacz, szcęknięcie, jakby ktoś szłoł kamiennymi piersiami albo załamywał żelaziste ręce. A kiedy rano przyszedł otworzyć kościół, przy

---

<sup>18</sup> *Tatarzy* – tu: Mongołowie; w ściślejszym znaczeniu: grupa plemion koczowniczych żyjących w średniowieczu na terenach Mongolii, siłą podporządkowanych przez Czyngis-chana. W Polsce od XIII do XVIII w. nazwa ta oznaczała koczowniczych najeźdźców ze wschodu (początkowo byli nimi Mongołowie, później Tatarzy Krymscy). [przypis edytorski]

<sup>19</sup> *Pieczyngowie* – związek plemion, które w VIII-XI w. wędrowały z Azji Środkowej na zachód; walczyli początkowo z Ujgurami, następnie z Madziarami, a po upadku Kaganatu Chazarskiego z Rusią. W XI w. osiedli na zach. wybrzeżach Morza Czarnego i niepokoiłi Turcję. W następnych wiekach stracili tożsamość kulturową. [przypis edytorski]

schodach do podziemia przesunęło się koło niego coś ogromnego, podobnego do grubego, wysokiego rycerza, ale to było szare i szło cicho, zupełnie jak mgła.

Słowa giermka sprawiły głębokie wrażenie. Wszyscy zaczęli szeptać:

– Chrobry... Duch z kaplicy świętego Leonarda... To wielki znak!

A księżna Grzymisława dodała smutnym głosem:

– Jakieś niebezpieczeństwo grozi Piastom...

– Kiedy mamy się już bawić w gminne powiastki, to i ja państwu coś opowiem – odezwał się ksiądz Maciej. – U nas, w Legnicy, od jakiegoś czasu dzwony same dzwonią.

– Jak to? Same dzwonią? I tak co noc? – dziwili się słuchacze.

– Nie, czasem tylko późnym wieczorem, kiedy ludzie pierwszym snem zasną. Jak tylko się rozbudzą, wszystko cichnie; ledwo zaczną drzemać, znowu rozlega się bim! bom! Ja sam nie słyszałem, bo mieszkam we Wrocławiu, ale mnóstwo ludzi przysięgało, że to prawda. A ja powiadam, rozgłaszanie takich wieści między pospólstwem jest grzechem, osłabia serce i mąci rozum. Niedługo usłyszymy, że Tatarzyny mają psie głowy albo smocze skrzydła. Otóż właśnie dla rozeznania prawdy i obmyślenia mądrej obrony, gdyby stała się kiedyś potrzebna, księżęta dziś tak długo radzą. Wezwali nawet kanonika krakowskiego, Jacka Odrowąza<sup>20</sup>, który najlepiej może radzić, bo przecie widział Tatarów.

– Widział Tatarów?! – krzyknęły prawie jednocześnie Elżbieta i Ludmiła.

– A jakże, był w Kijowie podczas oblężenia i zdobycia miasta. Aha! O wilku mowa, a wilk tuż!...

W drzwiach pokazało się mnóstwo mężów. Na czele dwaj Piastowicze w mitrach. Książe Henryk szedł po prawej stronie jako gość i potomek starszej linii, o czym władcy śląscy nigdy nie zapominali. Był to człowiek trzydziestoletni, z obliczem energicznym i rycerskim. Nosił brunatną tunikę ze złotą obręczą w pasie i ciemnoczerwony płaszcz spięty na ramionach klamrami w kształcie malutkich tarcz herbowych, na których bielił się piastowski orzeł. Trzecia tarcza, nieco większa, wisiła na rękojeści miecza, owiniętego złotą taśmą.

Książe Bolesław miał popielatą tunikę, na niej purpurowofioletową szatę, zwaną dalmatyką, z orłem na piersi wyszytym perłami. Strój niezwykle pasował do jego dziewiętnastoletniej twarzy, płowych włosów i turkusowych oczu. Za księżętami szło dwóch duchownych; Jacek Odrowąż w dominikańskim habicie, wysoki, kościsty, ze spuszczoną pokornie głową i Jan Prandota<sup>21</sup>, biskup krakowski. Dalej szli dygnitarze i rycerze.

– Udadzą się jasełka! – stwierdził Prandota podchodząc do królowej. – Figury jak ulane, ale nie widzę bydłatek. A przecież i to potrzebne...

– O! – zawołała królowa. – Cieszę się, księżę biskupie, że humor wam dopisuje. Kto by tam strugał z drzewa bydło, którego są pełne obory? W naszym żłóbku będą żywe woły i osiołki jak tam, w Betlejem.

– Będzie jeszcze coś dowcipnego – dodał znacząco król.

– Ach, proszę, przestań. Przecież to misteria dla całego Krakowa – szepnęła księżna i chcąc, by król dochował tajemnicy, położyła na ustach wysmukły, bład paluszek.

– Misteria... misteria... – powtarzał Bolesław z przekąsem. – Moja złota królowo, pozwól powiedzieć. On nikomu nie wygada, daję za to głowę. Otóż słuchaj, dobrodzieju – dodał zwracając się do biskupa i zniżając tajemniczo głos – w orszaku Trzech Króli będzie... no, zgadnij co... Na pewno nie zgadniesz! Wielbłąd! Ten wielbłąd, którego Daniel Halicki<sup>22</sup> przysłał nam w podarunku.

– Słyszałem, że przysłał, ale do tej pory nie wiem, skąd on go wziął.

---

<sup>20</sup> Jacek Odrowąż (1183–1257) – święty Kościoła katolickiego, zwany apostołem Słowian. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> Jan Prandota (ok. 1200–1266) – biskup krakowski, zwolennik Bolesława Wstydlivego, pozostawał w konflikcie z Konradem Mazowieckim. [przypis edytorski]

<sup>22</sup> Daniel Romanowicz Halicki (1201–1264) – książe Rusi Halickiej, a następnie król Rusi. Założyciel grodu Lwów, nazwanego od imienia jego syna Lwa. [przypis edytorski]

– To bardzo ciekawa historia. Wielbłąd jest zdobyczą po Tatarach. Pierwszą i kto wie, czy nie jedyną, bo nie ma im co zabierać, chyba że to, co drugim pokradli. Leżał na pobojowisku między trupami i był ranny. Ale naszym okrutnie się to monstrum spodobało. Zaczęli go nacierać, leczyć jak konia, a może nawet jak człowieka. Tak się i wylizał, biedaczysko. A poczciwy Daniel pragnął się nim jak najszybciej pochwalić i dał nam go w prezencie.

– A to będzie przednie! – zawołał radośnie biskup.

– Nie tylko przednie – odparł skory do żartów Bolesław – to będzie tak, jak się kiedyś zdarzyło. Wszyscy gotowi pomyśleć, że to jeden z owych Trzech Króli prosto z pustyni na nim przycwałował.

Po drugiej stronie stołu księżna Grzymiśława rozmawiała z księciem Henrykiem siedzącym na tronie.

– Cóżecie tedy uradzili? – spytała z zainteresowaniem.

– Boles na wiosnę zwoła sejm w Kalinie odparł księżę – a ja, prócz moich Ślązaków, chcę wziąć do pomocy sąsiadów. Może nie będzie to potrzebne, ale na pewno nie zaszkodzi. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Tymczasem młody król kazał sobie podać genueński kobierczyk i rozłożywszy go na ziemi, usiadł przy stopach królowej.

– Już mnie nudzą ci wszyscy mądrale powiedział, całując jej delikatne dłoń. – Najlepsza filozofia to miłować się w Bogu. Nieprawdaż?

– Tak, byle w Bogu! – królowa zarumieniła się i zaczęła z lekka oglądać, jakby szukała pomocy. Chciała przerwać tę drażliwą dla niej rozmowę. Nagle zerwała się wołając: – Ach, że też zapomniałam! Panno Ludmiło, chodź no tu, moje dziecko, niechże cię przedstawię twojemu opiekunowi i ojcu.

Bolesław wstał i pocałował Ludmiłę w czoło, według praw opiekuna i króla.

– A i owszem – zapewnił Bolesław – będziemy sierocie ojcowali, byle nasza małżonka chciała matkować.

Wtedy Krystyn z Niedźwiedzia, który dla swoich synalków szukał bogatej dziedziczki, podszedł do króla i rzekł:

– Zdaje mi się, miłościwy panie, że niedługo będziecie ojcowali, bo jak słyszałem od jej stryjów, ta panna już po zrękowinach.

– To źle słyszeliście – odrzekł król z powagą w głosie. – Co beze mnie postanowione, to się nie liczy. Gdzie król opiekunem, tam tylko z ręki królewskiej mogą być zrękowiny.

Elżbieta i Ludmiła z wdzięcznością podniosły wzrok na królową i spostrzegły w jej oczach wyraz tryumfu. Tymczasem Bolesław zbliżył się do Elżbiety i łaskawie z nią rozmawiał. Chciał jej zapewne osłodzić, jak sądził, bolesną dla rodziny Zydrama odmowę.

– Czy bardzo pannę zmartwiły słowa króla? – zapytał Michał Przedwojowic, podchodząc do Ludmiły.

– Wcale – rzekła zdecydowanie. – Muszę się przyznać, że słowa królewskie są powodem mojej radości.

– A, to co innego, a więc zacna panna pozwoli, abym na turnieju walczył pod jej godłem?

Dziewczyna skinęła głową.

– A jakie godło dostanę?

Ludmiła ściągnęła jedną ze swoich bransolet i podała rycerzowi. Schował ją ze czcią jak relikwię. Potem zaczął opowiadać o wszystkim, co się zdarzyło na turniejach, na których kruszył kopię.

Przy kominku powstało zamieszanie. Słysząc było okrzyki i śmiech. Okazało się, że ksiądz Maciej dostał mata. Król, wesół z wygranej, powstał. Na to hasło wszyscy się ruszyli i z pokłonami zaczęli opuszczać salę. Ludmiła, biorąc pod uwagę rady Elżbiety, zatrzymała stryjów i ostatnia stanęła przed królem. Pokłoniwszy się nisko prosiła, aby jej pozwolił rozporządzić jedną ze swoich włości.

– Według starych zwyczajów, stryjowie mają prawo do ojcowizny, ale uczcili wolę mego ojca. Niechże za trudy opieki otrzymają choć małą częśćkę, i niech im ona będzie pamiątką mojej wdzięczności.

Podobał się królowi pomysł dziewczyny. Był rad, że dzięki jej wspaniałomyślności może okrzasić stryjom suchą odprawę.

Stryjowie o mało nie ucałowali rąk własnej synowicy. Prosto z zamku poszli do gospody, gdzie do świtu pili za jej zdrowie, drwiąc sobie ze wszystkich długów i z samego Zyndrama.

## Rozstanie

Po turnieju Michał Przedwojowic opuścił stolicę. Musiał dostarczyć rozkazy wojewody Klemensa do stanowisk wojennych. Wyjechał ze wschodem słońca, ale rozstanie z wybranką serca opromieniała jutrzienka różowej przyszłości. Ludmiła wiedziała, że nie musi się już bać tego, co jej do niedawna zagrażało. Po tak cudownym ocaleniu wierzyła, że spełnią się jej marzenia...

Najbardziej bolesne było rozstanie z Elżbietą. Przyrosła do niej jak bluszcz do drzewa, tysiącem gałązek swej duszy, zaufaniem, czcią dla jej cnót oraz najgłębszą dozgonną wdzięcznością. Elżbiecie też było smutno żegnać się z Ludmiłą, ale musiała co prędzej odjechać. Już nie było żadnej wymówki. W kilka dni po turnieju odjechał książę śląski, a z nim ksiądz Maciej. Po spełnionym obowiązku względem sieroty doszły do głosu po stokroć bliższe obowiązki żony, matki i pani domu. Ludmiła raz jeszcze objęła Elżbietę w serdecznym uścisku.

– Kochana Elżbieto! Nigdy nie zapomnę tego, co dla mnie zrobiłaś. Boże, daj, abym kiedyś mogła ci się odwdziżyć! – powiedziała na pożegnanie i wybuchnęła płaczem.

Karnawałowe szaleństwo ogarnęło Kraków. Na ulicach bawili się przebierańcy, wokół miasta dzwoniły kuligi, a w zamku rozbrzmiewał śmiech, trwały widowiska i bale.

Ludmiła zamieszkała w zamku. Koronna pani była dla niej łaskawa, a król rozmawiał z nią jak z młodszą siostrą. Nieraz żartował, rając jej najstarszych i najnudniejszych dostojników, ale tak naprawdę miał wobec niej zamiar wielkiego wyniesienia.

Zdawałoby się, że panienka, która lubi taniec i stroje, która ma do syta zabaw i hołdów, powinna być szczęśliwa. Jednak było inaczej. Cóż po tym wszystkim, kiedy miłość i przyjaźń rozbiegły się w dwie różne strony... A przy tym nowe nieprzewidziane troski zaprzętały myśli Ludmiły. W poufanych rozmowach królowa usiłowała nakłonić ją do życia zakonnego, a król miał zamiar ją wyswatać. Z królem cięższa sprawa niż z Sulisławem. Takiemu opiekunowi trudno się wywinąć.

– Moja Ludmiło, dziwna z ciebie dziewczyna – stwierdził król z wyrzutem. – Nie chcesz korony niebieskiej. Nie chcesz korony książęcej. Czegóż więc chcesz?

Ludmiła milczała. Wiedziała, że złota bransoletka poplątała jej przyszłość. I żeby przynajmniej ta przyszłość mogła się stać teraźniejszością. Ale wszystko było wątpliwe. Słyszała, jak dworzanie mówili między sobą, że pan Michał udał się z poselstwem do księcia halickiego, Daniela, a później ma jechać z wyprawą na Prusaków. Jak długo to potrwa. Oprócz Ludmiły wszyscy o nim zapomnieli. Na dworze co dzień przyjmowano nowych gości, w turniejach nowi zwycięzcy zbierali oklaski. Nie miała nawet z kim pomówić o tym, co kryła w głębi serca.

W trakcie kolejnej rozmowy z królową Ludmiła wyznała, że pragnęłaby wypróbować swoje powołanie. W tym celu chciałaby odsunąć dworskie pokusy i na pewien czas osiąść w jakimś klasztorze. Nie myśli na razie o ślubach, ale chciałaby przyjrzeć się życiu zakonnemu.

– Gdyby pozwolono mi wybierać – powiedziała nieśmiało – wybrałabym norbertanki w Witowie. Tyle tam zostawiłam słodkich wspomnień.

Kinga przygarnęła sierotę i wyrażając swą radość, pocałowała Ludmiłę w czoło. Dziewczyna zawstydziała się w głębi duszy, ponieważ wiedziała, że nie zasłużyła na pocałunek, że niejako wykradła go słowami, które skrywały zupełnie odmienne myśli. Od kilku dni snuła dość przewrotne plany. Pobyt w Żegnańcu nauczył ją, jak ważne jest zyskanie na czasie. Chciała więc wszystko przewlec, zejść z oczu królowi i uspokoić królową. Wiadomo, że przełożoną klasztoru w Witowie była ciotka Michała Przedwojowica, która zdawała sobie sprawę, że siostrzeniec nie ma dostatków ani sławnego imienia, ale zasługami zdobywa uznanie i stanowisko. Na pewno będzie zadowolona, gdy się dowie, że pan Michał może podnieść oczy na wysoko urodzoną bogaczkę.

Zapusty wrzały w najlepsze, kiedy Ludmiła opuszczała stolicę w towarzystwie ochmistryni i kilku dworzan królowej. Ten sam klasztor, który przed rokiem wydawał się jej grobem, teraz zabłysnął jak latarnia morska oświetlająca jej przyszłość. Tyle wspomnień zostawiła w tych

murach, na dziedzińcu obdzierganym krużgankami, gdzie bawiła się w czasach swojego dzieciństwa. Wprawdzie pora zimowa nie pozwalała biegać po murawie ani zrywać kwiatów, ale za to w głębi gmachu wabił ciepły refektarz, gdzie z prawdziwą radością poznawała wąskie, wyblakłe obrazy i krucyfiksy. Ze wzruszeniem powitała znajome mniszki, zwłaszcza sędziwą matkę przełożoną.

W pierwszym dniu życie wydało się jej ciekawsze niż zabawy krakowskie. Często rozpytywała o siostrzeńca przełożonej. Pytania te nikogo nie dziwiły; wzięto je po prostu za dworską uprzejmość. Mniszki opowiadały ze szczegółami, gdzie przebywa, gdzie się wybiera, wychwalały jego waleczność i sławę. Ciotka pana Michała była zadziwiająco niedomyślna.

Po radosnym i życzliwym powitaniu życie w klasztorze wróciło do normy. Oczywiście, zakonnice nadal cieszyły się z nowicjatu Ludmiły, ale mniej już było prywatnych rozmów, a więcej religijnych rozważań. Po kilku dniach nadszedł list od królowej, w którym gorąco polecała przyszłe powołanie Ludmiły.

Tyle było spraw, problemów, wątpliwości, o których dziewczyna chciała porozmawiać z przełożoną. Z daleka wszystko wydawało się jej takie łatwe... Teraz nie potrafiła się zwierzyć; słowa więzły jej w gardle.

– Mój Boże! – westchnęła. – Szkoda, że nie ma Elżbiety. Ona by wszystko za mnie powiedziała. Ona by wszystko ułożyła...

## Kyrie Eleison

W refektarzu witowskim po dwóch stronach wąskiego, długiego stołu siedziały nowicjuszki. Przed każdą stała miseczka z jarzynami, czarka z wodą, a obok leżała kromka chleba. Nad stołem paliły się zawieszane u sklepienia kagańce. Trwała wieczerza, po której pozostawało tylko pomodlić się i położyć spać. Przyjemnie i ciepło było w sali o dwóch ogromnych piecach, tym przyjemniej, że za oknami wyła zimowa zawierucha. Przy drugim stole siedziały zakonnice w białych jak mleko habitach, na które opadał czarny przezroczysty welon, niby radosny strój błogosławionych, ale jeszcze przysłonięty cieniem ziemskiego smutku. Między mniszkami widać było kilka matron w czerni. To wdowy, które uciekły przed światem. Dalej z rzadka już tylko białe habit, porośnięte jakby strażą między podlotkami ubranymi w ciemne przyodziewki i białe fartuchy. Każda miała długi, z tyłu zapleciony warkocz. Wśród nich siedziała także Ludmiła. Pomagała zakonnicom w utrzymaniu porządku i dyscypliny. Jak niegdyś ją tu strofowano, tak ona dzisiaj strofowała innych. Upominała, prosiła o milczenie, co było niezwykle trudne w ciżbie gadatliwych dziewczek.

Siostra lektorka siedząca z boku przy ciężkim, pięknie rzeźbionym pulpicie, którego blat mógł się podnosić i zniżać, zaczynała czytać dzieje świętych. Gruba, łańcuchem przykuta księga, z kartkami o malowanych brzegach, była otwarta na żywocie świętej Urszuli. Po ostatnim wyrazie, oznaczającym koniec czytania, przełożona podniosła rękę i uroczyście rzekła:

– Kochane siostry i panienki! Pomódlcie się dzisiaj goręcej niż co dzień. Otrzymałam list od królowej, miłościwej pani, która donosi, że Tatarzy przeszli granicę, zdobyli Lublin i podobno widziano ich w okolicach Sandomierza. Król wyprawił się z mocnym wojskiem. W Bogu nadzieja, że rozproszy to pogaństwo i odwróci od nas krzyż. Ale dużo ludzi już zginęło i jeszcze zginie, jak owe męczeńskie towarzyszki świętej Urszuli. Módlcie się za poległych!

Słowa przełożonej zmroziły zgromadzenie. Nikt jednak nie odebrał ich tak mocno, jak Ludmiła. Wzmianka o Sandomierzu sprawiła, że serce podeszło jej do gardła. Żegnaniec niedaleko, co się stanie z Elżbietą? Złożyła ręce i nie mogła wydobyć głosu. Inne panny szeptały z trwogą:

– Już są! Lublin wzięty!

– Z tymi Tatarami to zupełnie jak ze śmiercią – powiedziała głośno młoda siostra. – Wszyscy o niej mówią, a każdemu się zdaje, że do niego nie przyjdzie. A tymczasem Tatarzy przyszli...

– I śmierć przyjdzie – dodała starsza. – I to właśnie wtedy, kiedy się najmniej spodziewamy. Toteż trzeba zawsze być w pogotowiu, pod zbroją, pod chorągwią jak nasz król z rycerstwem.

Wieczerza dobiegała końca. Rozległo się szuranie odsuwanych ławek. Przełożona znów podniosła rękę i zaczęła uciszać zgromadzenie.

– Cicho... zdaje mi się, że ktoś dzwoni.

– O tej godzinie? – zdziwiła się matrona, która niedawno zamieszkała w klasztorze i nie znała jeszcze tutejszych zwyczajów.

– Nie ma w tym nic dziwnego – odrzekły mniszki. – Może jakiś podróżny albo chory prosi o lekarstwo lub księdza.

Teraz wszystkie usłyszały natarczywy dzwonek. Odzwierna pobiegła do furty. Za chwilę wpadła do refektarza z przestraczem w oczach.

– O, Jezu Nazareński! – wrzasnęła przerażona. – Tam stoją kobiety z dziećmi, ranne, pokrwawione, obszarpane, na wpół nagie. Powiadają, że Tatarzy je obdarli i pobili.

– Tatarzy! – krzyknęły mniszki. – Więc już są blisko.

– Tego nie wiem. Kobiety powiedziały, że idą spod Lublina.

– Gdzie one są? – zapytała matka przełożona.

– Za furta.

– To jeszcze ich nie wpuściłaś?!

– Kiedy, proszę matki, jakiś strach mnie ogarnął. Nawet nie wiem, czy wystarczy naszych szpitalnych łózek. Wyglądają jak widma. A przy tym gadają... jakoś niby to nie po polsku.

– Wstydz się! – przerwała przełożona. – Jak łózek nie wystarczy, to się znajdzie słoma. Chyba lepsze to, niż trzymanie ich na mrozie.

– A cóż mówią nocni stróże? – zagadnęła jedna z zakonnice.

– Wołałam stróżów, ale żaden się nie odezwał. Śpią próżniaki.

– A to niedobrze – stwierdziła ksieni. – No, ale chodźmy już do tych biedaczek.

Wzięła do ręki kaganiec i ruszyła pierwsza, prowadząc mniszki, za którymi jak stado owiec tłoczyły się panienki, miotane strachem i ciekawością. Gdy doszły do furty, przełożona spojrzała przez okratowane okienko. W pierwszej chwili cofnęła się, ale wnet odzyskała równowagę ducha i spytała:

– A skąd to Bóg prowadzi? Z Lublina? Czy to prawda, że Tatarzy...

– Oj, prawda, prawda – jęknęła najbliższej stojąca niewiasta. – Jak nas Tatarzy przepędzili, tak już tydzień uciekamy. Chciałyśmy uciekać jeszcze dalej, ale nam dzieci pomarżyły. Miłosiernie prosimy o schronienie na jedną tylko noc. Jutro pójdziemy, jak Bóg w niebie, pójdziemy.

– Ale, moja kobieto – rzekła przełożona – nie rozumiem, pobito was przed tygodniem, a wasze rany są jeszcze świeże. Pełno krwi na was...

– A to, moja matko, mróz pootwierał rany.

– Trzeba je wpuścić – zdecydowała przełożona po dłuższym namyśle. – Ale pierwiej... może która z was podskoczy i zadzwoni na kościelnych. Niech im przez kratę powie, aby się rozejrzeli i stróżów pobudzili, bo istotnie te kobiety wyglądają podejrzanie... Może to jacyś złoczyńcy przebrani...

Wychowanki i zakonnice kolejno podchodziły do krat, a każda cofała się, składała ręce lub zasłaniała oczy. Istotnie, widok był tragiczny. Pod okienkiem stało z pięć lub sześć młodych kobiet, na wpół obnażonych, pociętych. Świeża krew płynęła po ich twarzach. Na rękach trzymały dzieci, równie cierpiące. Nieco dalej stał zbity, niemożliwy do rozpoznania tłum; roiło się zbiegowisko starych, przygarbionych bab podpierających się na kijach, owiniętych pokrwawionymi płachtami, jęczących głucho, jak gdyby spod ziemi. W słabym świetle księżycy przestłoniętego chmurą wyglądały jak cmentarne widma.

– Łotry! Poganie! – krzyczała jedna z niewiast, chwytając się za ramię. – Jak mnie wczoraj jeden za rękę szarpnął, to aż mi w kościach trzasło...

– Jak to wczoraj? – podchwyciła zakonnica stojąca przy okienku. – Przecież to już tydzień?

– Niech matka nie zważa – przerwała prędko inna kobieta. – Strach przewrócił jej w głowie. Ciągle jej się zdaje, że to było wczoraj.

– A nie ma wśród was żadnego mężczyzny? Bo tymi drzwiami tylko białogłowy mogą wchodzić. Nie macie mężów, braci...

– A skąd my weźmiemy mężów albo braci? Wszystkich Tatarzy wybili, wszystkich, co do nogi. Siostra wysłana po kościelne sługi przyniosła wiadomość:

– Już ich obudziłam, zaraz przyjdą.

– Trzeba przygotować łaźnię, ciepłą strawę, przynieść świeżej słomy. – Przełożona wydawała polecenia, ociągając się z otworzeniem furty. Czekwała na przybycie mężczyzn.

Tymczasem jedna ze staruszek podeszła do kobiety trzymającej dziecko i coś szepnęła jej do ucha. Wnet dziecko zaczęło przeraźliwie płakać, jakby je kto żywcem ze skóry odzierał. Kobiety tupwały o zamarzłą ziemię i wyrwały sobie włosy.

– Chyba nas tu nigdy nie wpuszczą! Cóż to za dom boży, gdzie nie chcą ubogiemu otworzyć! Tłuste mniszki śpią na puchu, jedzą kury, a dla nędzarzy są gorsze od Tatarów.

Zakonnice były zawstydzone wyrzutami. Furtianka, nie czekając na rozkazy, podbiegła z kluczami. Przełożona, choć jeszcze się wahała, pozwoliła otworzyć, ale tylko boczną, małą furtkę, przez którą ledwie jedna osoba mogła się przecisnąć. Najpierw zaczęły wchodzić młodsze

kobiety, które od razu przypadły zakonnicom do kolan, dziękując za schronienie. Potem skulone starowiny omotane chustkami, tak że nie podobna było rozeznac ich twarzy. Na razie weszły tylko trzy; reszta tłoczyła się w progu i pomrukiwała żałośnie, mimo zaproszeń furtianki, która wyraźnie była zniecierpliwiona zwłoką. Siarczysty mróz wdierał się do środka. Nagle jedna z babulek wyprostowała się, wyciągnęła ogromne ręce i ruszyła do głównych drzwi. Jednym zamachem zdjęła żelazną sztabę. Inna „staruszka” wydarła furtiance klucze i zaczęła dobierać się do zamka. Przełożona z oburzeniem chwyciła ją za rękę i zawołała:

– Co to znaczy? Kto wam pozwolił?

Ale czarownica mocno potrząsnęła głową; wszystkie chusty z niej opadły i pokazała się straszna, koścista, szeroka, skośnooka twarz. Mężczyzna obejrzał się na zgromadzenie i pogroził sztabą. Ze wszystkich ust niewieścich wyleciał jeden okrzyk przerażenia. Zakonnice chciały biec na pomoc przełożonej, którą mężczyzna chwycił za gardło, ale nie mogły się wyrwać z objęć kobiet obejmujących je za nogi z udawaną pokorą. Klucz został dopasowany; oba skrzydła głównych drzwi rozwarły się na oścież, fala ostrego powietrza wdarła się do środka i zgasiła większą część kagańców. Wreszcie nadbiegli słudzy kościelni. Wpadli pierwsi, a za nimi, w krótkich kozuchach, w spiczastych czapkach zakrzywionych jak krogulcze dzioby, z szablami i siekierami, napierali Tatarzy. Spoza narożnych murów sypali się bez końca, spod każdego krzaka powstawali jak widma. W sieni zapanował sądny dzień. Zakonnice i panienki uciekały w głąb korytarzy, do sal, do cel, na poddasze. Tatarzy za nimi. Słudzy klasztorni, po krótkim oporze, konali na progu. Z wieży odezwał się głęboki, ponury głos dzwonu. Pewnie któryś z kościelnych, przytomniejszy od innych, zawrócił i uderzył na trwogę. Wnet ze wszystkich okolicznych budynków wybiegli na pomoc gospodarze. Ale klasztor już był opanowany! W sieni, na pozór pustej, zostało jeszcze kilka żywych istot. Kiedy mniszki biegingy w stronę korytarza, Ludmiła swoim łowczym okiem oceniła niebezpieczeństwo i szepnęła do najbliższej stojących zakonnice:

– Dlaczego one tam uciekają? Przecież stamtąd już nie ma wyjścia. Musimy się trzymać blisko drzwi, może się uda...

Był w sieni ogromny kominek, na którym leżały wielkie stosy drzewa przygotowane do rozpałki na następny dzień. Ludmiła i cztery inne zakonnice wcisnęły się za drzewo i przykleknęły w popiele, wstrzymując oddech. Przez moment nie było nikogo. Jedni łupieżcy pogonili za uciekającymi, inni walczyli z odsieczą. Ludmiła wyczołgała się z kominka. Ogarnęła wzrokiem sień; księżyc blade oświetlał wnętrze.

– Nie ma nikogo. Uciekajmy! – skinęła na towarzyszki.

Trzy zakonnice poczołgały się za nią, czwarta nie ruszyła się z miejsca.

– Ślubowałam, że nie opuszczę tych murów – powiedziała ze smutkiem w głosie. – Tu poczekam na śmierć.

– Gdyby tylko śmierć cię czekała, ale niewola u pogan! – wycodziła przez zęby Ludmiła i wychyliła głowę, sprawdzając, czy przed drzwiami nie ma straży. Nie było żywego ducha.

Dziewczęta chwyciły się za ręce i biegingy przed siebie, omijając trupy. Coraz mniej krzyków rozdzierało ciszę nocy. Słyszały własny oddech i żałosny dźwięk dzwonu, który drżał w powietrzu przezroczyście od mrozu. Tuż przy klasztorze było niewielkie wzgórze; za nim ciągnęły się lasy. Nowicjuszeki zwróciły się w tę stronę, bo tylko tam mogły znaleźć schronienie. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, rozciągała się ośnieżona równina, na której byłyby widoczne jak na dłoni. Paganie szamotający się z garstką chłopstwa dostrzegli uciekiniarki. Kilku porzuciło walkę dla ponętniejszej zdobyczy. Trzaskając nahajkami ruszyli w pościg. Dziewczęta ostatkiem sił wspięły się pod górę; śnieg osuwał się spod nóg. Słabsze nie mogły nadążyć; rozerwał się łańcuch rąk i każda uciekała z osobna. Nahajki klaskały, dzwon bił z przerwami, jakby już i kościelnemu zabrakło siły. Ludmiła straciła z oczu swoje towarzyszki. Uniosła brzegi sukni i na oślep wpadła w gęstwinię. Potknęła się o pniak sterczący nad ziemią, zamarzły strumyk zatrzeszczał pod nogami, poślizgnęła się, znowu wstała, śnieg coraz głębszy utrudniał ucieczkę. Cienkie obuwie rozmiękło, w końcu podarło się o

gałęzie. Nagle coś ją chwyciło za nogi, jakby wąż pierścienisty. Chciała biec dalej, ale sznur się zaciskał. Upadła na wznak w puch śniegowy.

Dwaj Tatarzy<sup>23</sup>, zarzuciwszy na uciekinierkę arkan<sup>24</sup>, podbiegli do niej. Mieli na sobie wyświechtane tłuszczem kozuchy. Płaskie nosy i krzywe oczka nadawały im szatański wygląd. Jeden z nich zwrócił twarz dziewczyny pod światło księżycowe. Po chwili ostrożnie zdjął z jej nóg linę, jednym końcem arkanu związał ręce, a drugi wziął w dłonie i popędził zdobycz przed sobą świstem nahajki<sup>25</sup>. Wycieńczona i skostniała z zimna Ludmiła co chwila ślizgała się i upadała. Tatar niecierpliwił się, w końcu pochwycił ją, zarzucił na ramię i niósł jak piórko. Wkrótce znaleźli się pod klasztorem, między szeregami wysokich dwukołowych wózków. Tatar położył ją na jednym z nich, przykrył słomą i stanął obok, pogwizdując wesoło.

Ludmiła zapadła w sen, który wydał się jej przedśmiertnym. Kilka razy nieco uniosła powieki. Raz ujrzała Tatara w złotym ornacie, z czarnym welonem norbertanki obwiązany koło czapki, który zbliżał się do wózka, pijąc z mszalnego kielicha. Po chwili podał kielich strażnikowi. Obaj kolejno siorbali chciwie, krzycząc w niezrozumiałym języku. Kiedy po raz drugi otworzyła oczy, okna kościelne pały wielkim światłem. Na ołtarzach, w świecznikach wiszących pod sklepieniem, wszystkie gromnice były zapalone. Przez ścianę dolatywał głuchy szum i szcęk, przerywany niekiedy krzykiem.

---

<sup>23</sup> *Tatarzy* – tu: Mongołowie; w ściślejszym znaczeniu: grupa plemion koczowniczych żyjących w średniowieczu na terenach Mongolii, siłą podporządkowanych przez Czyngis-chana. W Polsce od XIII do XVIII w. nazwa ta oznaczała koczowniczych najeźdźców ze wschodu (początkowo byli nimi Mongołowie, później Tatarzy Krymscy). [przypis edytorski]

<sup>24</sup> *arkan* – długi sztywny sznur, służący do chwytania uciekającej zwierzyny lub ludzi. [przypis edytorski]

<sup>25</sup> *nahajka* a. *kańczug* – skórzany bicz, narzędzie dyscyplinowania i wymierzania kary. [przypis edytorski]

## Na poboju

Ledwie doniesiono, że nieprzyjaciel przekroczył granice, młody król wyruszył z gronem pokrewnych książąt na wojnę. Bolesław nie potrzebował zachęty; pełen młodzieńczej ufności naprędce mobilizował siły, które udało mu się zebrać pod Wawelem. Całe właściwie rycerstwo dopiero nadciągało. Szykowano się ciężko i z wolna. Nikt jeszcze nie wiedział, że Tatarzy głównie wojują pośpiechem. Była to armia urządzona z prawdziwie mistrzowską sztuką, walcząca ze strategią w Europie nie znaną.

Przed każdą wyprawą, jeszcze w głębi Azji, ustalono, ilu mężczyzn z każdej rodziny musi zaciągnąć się do wojska, ile czasu trzeba poświęcić na drogę, ile sił wysłać w każdą część świata, bo zwykle planowano kilka wypraw jednocześnie. Potem do każdego kraju wysłano szpiegów, którzy krążyli przez miesiące, czasem lata, tak że wodzowie mongolscy, wchodząc do nowej ziemi, znali nie tylko położenie wszystkich miast i wiosek, ale najmniejsze drożyny i manowce. Idąc zostawiali kilka szlaków nietkniętych, aby w drodze powrotnej znaleźć paszę dla koni i siedliska do wypoczynku.

Liczba samych Tatarów<sup>26</sup> w wojsku była stosunkowo niewielka. W sile trzystu tysięcy napadających na Polskę dwie trzecie stanowił przeróżny, dawniej podbity naród<sup>27</sup>; zwycięzcy pędzili go przed sobą, każąc walczyć w swojej sprawie. Dla zachęty dzielili się częścią łupów.

Bolesław, rażno jadący z garstką dworzan, zdziwił się niepomiernie, widząc nieprzebrane tłumy. Każdy z wojowników tatarskich prowadził pięć lub sześć koni. Tabory więźniów wleczone z tyłu jeszcze pomnażały ciżbę. Polacy dobrze wiedzieli, że nieprzezornie jest mierzyć się z tak nierówną siłą, ale rycerski honor nie pozwalał uchodzić bez walki.

Spotkanie nastąpiło pod Opolem. Była to raczej utarczka niż bitwa. Młody król nie dał się osaczyć, na czas wycofał resztki sił i powrócił do Krakowa. Wojewodzie Włodzimierzowi rozkazał trwać w pełnym pogotowiu i przynajmniej do stolicy nie dopuścić pogaństwa. Tatarzy cofali się ku Puszczy Strzemeskiej. W sławnych z dzikości głębiach mogli ukryć łupy i jeńców, jak gdyby pod ziemią.

Ludmiła od chwili porwania żyła w zupełnym odurzeniu. Ciągłe ją pędzono; to na wózkach, to pieszo w gromadzie więźniów. Czasem wprawdzie zatrzymywano się na skraju lasu, ale nie było mowy o odpoczynku. Wokół błyskały ognie podpalanych wiosek, spędzano nowych brańców. I znów dalej, na bezdroża. Więźniowie nie doznawali głodu. Strażnicy, chcąc im dodać sił do szybkiego marszu, suto rozdawali pożywienie.

Pewnego dnia pędzono przed nimi nowo sprowadzonych jeńców. W tłumie, po białych wąsach, Ludmiła poznała Marka, który był jednym z najpocześniejszych domowników żegnanieckiego zamku.

– Marku! – krzyknęła. Mężczyzna na dźwięk swojego imienia odwrócił się. – I ty tutaj!

– Byłem w drodze do Żegnańca, kiedy mnie złapano... – zawołał. – Niestety! – Długo jeszcze coś wołał, opowiadał, ale Ludmiła nie usłyszała już ani słowa.

Czwartego dnia rano cały tłum przyciągnął nad rzekę. Tylko dzień drogi dzielił ich od Puszczy Strzemeskiej, Tatarom wyczerpały się siły i przewodnicy zarządzili trzygodzinny odpoczynek. Wkrótce po wschodzie słońca nadbiegły przednie strażnice, ostrzegając, że nadciąga jakieś niezmiernie błyszczące wojsko. Wieść ta piorunem rozeszła się między jeńcami.

---

<sup>26</sup> *Tatarzy* – tu: Mongołowie; w ściślejszym znaczeniu: grupa plemion koczowniczych żyjących w średniowieczu na terenach Mongolii, siłą podporządkowanych przez Czyngis-chana. W Polsce od XIII do XVIII w. nazwa ta oznaczała koczowniczych najeźdźców ze wschodu (początkowo byli nimi Mongołowie, później Tatarzy Krymscy). [przypis edytorski]

<sup>27</sup> *Liczba samych Tatarów w wojsku była stosunkowo niewielka. W sile trzystu tysięcy napadających na Polskę dwie trzecie stanowił przeróżny, dawniej podbity naród* – imperium mongolskie w XIII w. stanowiło twór wieloetniczny i wielokulturowy. Do dziś jest uważane za drugie co do wielkości państwo świata, ustępując jedynie imperium brytyjskiemu. [przypis edytorski]

– Nasi idą, nasi! – wrzeszczał rozentuzjasmowany tłum. Mimo grózb i napomnień straży, nieszczęśnicy uklękli i donośnym głosem zaczęli śpiewać: – Święty Boże! Święty mocny! Święty nieśmiertelny!

Strażnicy spędzili więźniów w jedną gromadę i otoczyli taborem szczelnie powiązanych wozów. Spoza tej lekkiej, a jednak nieprzepartej warowni jeńcy niczego nie mogli dostrzec oprócz ogromnych kłębow pyłu. Chwilami słońce zaciemniały chmury pocisków. W pewnym momencie odwrócenia plecami do brańców poganie zaczęły pierzchać, gnani jakimś nieludzkim strachem. O jeńcach nikt nie myślał. Przez tumany kurzu zaczynały przebłyskiwać tarcze z chrześcijańskimi godłami, powiewały proporce. Ludmiła dostrzegła jeźdźca w posrebrzanej zbroi z błękitną chorągiewką u kopii.

– O, Boże! Czy mnie oczy nie mylą? – szepnęła.

Serce mówiło jej, że to on, Michał Przedwojowic. Mężczyzna pędził w stronę taboru. Gdy był już blisko, zeskoczył z konia, dobył koncerz i zaczął rozcinać sznury, wśród radosnego krzyku jeńców, którzy tłoczyli się niecierpliwie. Ludmiła pochyliła głowę i zamknęła oczy. Myślała, że śni, do chwili gdy ktoś z troskliwą ostrożnością przeciął więzy na jej rękach i ucałował czerwone pręgi.

Wojsko chrześcijańskie z tętentem i okrzykami okrążyło tabor. Wszystkie ręce podniosły się ku Panu i ku wybawcom. Krewni i znajomi, którzy rozpoznali się w tłumie, rzucali się sobie w ramiona. Całowali się znajomi i nieznajomi. Wzruszenie i radość ścisnęły za gardło, łzy płynęły z oczu. I pewnie radość ze spotkania trwałaby jeszcze długo, gdyby nie rozsądna uwaga jednego ze starszych i doświadczonych żołnierzy:

– No, już dosyć. Tatarzy mogą lada chwila wrócić. Tu pole otwarte jak na dłoni. Pójdźmy lepiej w lasy.

Słowa przekazywane z ust do ust w jednej chwili ogarnęły całą rzeszę. Wszyscy wpadli w popłoch. Na samą myśl, że jeszcze raz mogą dostać się w ręce pogan, jeńcy zerwali się z okrzykiem:

– W lasy! W lasy!

– Tędy... w stronę Krakowa! – zaproponował ktoś inny.

– Do Krakowa! – powtórzyło setki głosów.

Rozsuwając wozy, ruszyli na południowy zachód, gdzie długa, srebrna sieć lasów szklila się od oślepiającego szronu. Wszyscy szli w jednej zwartej gromadzie: starcy, niewiasty, dzieci wraz ze swymi oswobodzicielami. Rycerstwo trzymało się na tyłach, aby w razie napadu zasłonić bezbronny tłum.

Ludmiła szła prawie na końcu w towarzystwie Michała Przedwojowica. Rycerz spoglądał na nią wzrokiem łagodnym, pełnym miłości. Uśmiechał się niekiedy, lecz milczał. Ludmiła zastanawiała się, czy to z powodu wzruszenia słowa więzły mu w gardle, czy może jakaś złowieszcza myśl zasępiła mu duszę?

Pojawiły się już pierwsze drzewa. I w samą porę, bo ledwie zagłębiono się w puszczy nadbiegła straż, donosząc, że na polach znów zaczynają krążyć nieprzyjacielskie czaty. Wojewoda Włodzimierz kazał zawrócić konie. Rycerstwo zgromadził na skraju lasu, a ciurów pozostawił przy odbitych jeńcach, by bronili ich w razie niebezpieczeństwa. Czas mijał. Z początku słyszano chrzęst hufców szykujących się tuż pod borem. Wrzawa, zgiełk i harmider oddalały się, okrzyki były coraz słabsze, w końcu wszystko ucichło. Kilku ciurów puściło się brzegiem lasu, aby rozeznac sytuację. Wrócili z wieścią, że wojska już nie widać. Słychać było wprawdzie bitewną wrzawę, ale gdzieś za Turskiem. O pierwszym świcie wojewoda rozesłał ludzi na granicę lasu. Tatarzy zginęli, przepadli, jakby ich nigdy nie było.

Tymczasem Ludmiła przy świetle brzasku szukała Michała Przedwojowica. Jej wzrok zatrzymał się dłużej na jakiejś znajomej twarzy. Był to Sulisław. W jednej chwili znikła niechęć, urazy poszły w zapomnienie. Podeszła do mężczyzny, uśmiechnęła się i zapytała zatrwożonym głosem.

– A gdzie Elżbieta?...

– Już dawno w Krakowie u królowej albo we Wrocławiu z bratem – spokojnie odparł Sulisław.

– Na pierwszą wieść o Tatarach wysłałem człowieka z rozkazem, aby wyjeżdżała co rychlej.

Kogo wysłał? Czy przypadkiem nie Marka? – pomyślała Ludmiła i chciała rozwiać swoje wątpliwości, ale przerwano ich rozmowę. Sulisław odebrał rozkaz od wojewody, który posyłał go na zwiady, i wyruszył natychmiast.

Już dawno wstał dzień, a Michała Przedwojowica nikt jeszcze nie widział. Pocieszano Ludmiłę, ale słowa otuchy nie budziły w niej wiary. Wszak podczas rozstania kilka razy powtarzała: „Będę czekała tutaj, pod trzema dębami”. Czy mógłby zapomnieć? Mógłby opuścić ją w tak okropnej sytuacji.

Nagle straszna myśl przeszła jej serce. Zginął! Pobiegła w stronę pobojuwiska. Za nią poszło kilku mężczyzn, potem jeszcze kilku i coraz więcej ludzi ciągnęło z lasu ku żałobnym polom. Na pobojuwisku nie było wielu trupów. Tatarzy odebrawszy natychmiastowy rozkaz cofania się do puszczy, przy niezwykłej karności, nie mieli czasu na obdzieranie poległych. Co żywo pozbiali swoich i wycofali się.

W pierwszej chwili Ludmiła miała wrażenie, że nikogo tu nie ma. Po pewnym czasie, który był dla niej wiecznością, znalazła jednego, drugiego, dziesiątego... Leżeli na śniegu jak na białym całunie. Dziewczyna zatrzymywała się przy zwłokach, odgarniała śnieg i szła dalej. Nagle stanęła jak wryta. Spod śniegu sterczała przywiązana haftowaną szkarłatną wstążką jej bransoletka.

Michał leżał nieruchomo, w śnieżnobiałej lnianej koszuli, z twarzą zastygłą, ale uśmiechniętą. Był to uśmiech śmierci, wywołany widokiem lepszego świata. Ludmiła usiadła na śniegu przy zwłokach i wpatrywała się w jego twarz.

Wkoło panował ruch i zamieszanie. Ludziom pilno było uciekać do stolicy. Rycerstwo nagliło do drogi w obawie przed nowym napadem. W pośpiechu znoszono trupy. Kilku pachołków skoczyło do wioski, która jeszcze nie była doszczętnie zniszczona, i przyniosło rydle. Rozmieciono śnieg i zaczęto kopać zmarzniętą ziemię. Zwłoki układano rzędami, przysypując je lekko i wkrótce narósł mały, płaski kopiec. Przyszła kolej na Przedwojowica. Dwóch mężczyzn podeszło do niego i chwyciło go za ręce i nogi.

– Gdzie go zabieracie? – jęknęła Ludmiła. Stała nieruchomo, jakby wrosła w ziemię. Po jej posągowej twarzy spływały łzy.

– Musimy go pogrzebać. Chcesz, żeby go kruki zjadły? Tu już nie masz co robić. Idź stąd, będziesz miała dość czasu na płkanie.

## Co koń wyskoczy

Sulisław stał nad trupem i załamywał ręce:

– Moja żona! Moje dziecko! Co się stało z Elżbietą?

Ludmiła rozpoznała Marka. – Więc to jego pan wysłał! Ona nic nie wie...

– Tak, ona nic nie wie – powtórzył Sulisław. A tam już pewnie poganie plądrują! Ludzie mówią, że Sandomierz wzięty. A ja, nieszczęsny, tak ją zaklinałem, aby się nie ruszała nigdzie bez mojego pozwolenia! Któż mógł przewidzieć? Z początku miałem nadzieję, że Marek został napadnięty w drodze powrotnej, ale nie; oto na jego rękę znalazłem sygnet, który miał zawieźć jako znak ode mnie... Że też ten człowiek dał się złapać! Ona tam czeka i o niczym nie wie, a jeśli się dowie, to już może być za późno...

– Trzeba przecież coś robić – przerwała Ludmiła. – Kogoś posłać... może jeszcze czas...

– Ale kogo? Ja nie mogę opuszczać chorągwi. Cóż by to się działo, gdyby wszyscy mężowie i ojcowie rozjechali się do swoich domów? Kto się zmiłuje? Kto pojedzie do Żegnańca ostrzec moją żonę, aby co prędzej uciekała? – pytał rozglądając się błagalnie.

Ludzie jednak odstępowali, udawali, że nie słyszą albo nie rozumieją. Rycerze nie mogli odbiegać swego znaku, giermkowie nie chcieli odbiegać rycerzy. A odbici jeńcy? Ci za żadne skarby świata nie ruszyliby w zagrożone strony.

– Ja pojedę – odezwała się Ludmiła. – Może jeszcze zdążę, tylko dajcie mi dobrego konia.

Sulisław chwycił jej obie ręce:

– Święta panienko! Ty mi życie wracasz. Ale to niemożliwe, przecież sama musisz się ratować.

– Po co ja się mam ratować? Dla kogo? Elżbieta jest jedyną drogą istotą, jaka mi na świecie została...

– Ale jak trafisz przez te lasy? – denerwował się Sulisław. – Dam ci mego konia, który z końca świata znajdzie drogę do Żegnańca. On cię wichrem zaniesie.

Jeden z dworzan żegnanieckich, pazik z figlarnymi oczami, wysunął się nieśmiało i zaproponował:

– To i ja pojedę, przecież niepodobna panienki samej puszczać w taką drogę.

Sulisław aż uściśkał pazia. Młodzieńcowi żal było wprawdzie porzucić pole chwały, gdzie mógł się dosłużyć srebrnych ostróg giermka, ale w tym momencie wołał zostać opiekunem białogłowy, wszak to także chluba. Ludmiła bez wahania przyjęła konia i towarzysza. Nie chcąc tracić ani chwili, ponaglała:

– W drogę, w drogę, prędzej!

Jeden z mężczyzn, zdjęty współczuciem, rzucił na nią własny płaszcz z ciepłym kapturem.

Ruszyli kłusem. Wjechali w gęste bory. Bułany dobrze znał drogę, ani razu się nie zawahał. Przez białe gałęzie iskrzyły się gwiazdy z zimową, brylantową rzęsistością. Powoli niebo stawało się różowe... czerwone... Wkrótce zapłonęło ogromną łuną. Nad ranem łuna znikła. Ludmiła przymrużyła zmęczone oczy. Po chwili otworzyła je szeroko i ręką przysłoniła powieki, aby lepiej wpatrzeć się w dal. Nad rzadniejącym lasem rysował się na niebie szczyt najwyższej żegnanieckiej baszty.

– Dojeżdżamy – zawołał z radością paź. – I na czas, bo tu jeszcze spokojnie, żadnych łun, żadnych krzyków. Mamy szczęście!

Elżbieta liczyła dni pełne tęsknoty i niepokoju.

Po powrocie z Krakowa spędziła w zamku kilka pogodnych i dobrze wróżących tygodni. Mąż, ucieszony mądrym przeprowadzeniem sprawy i rozczulony skromnością małżonki, stopniał w rozrzewnieniu. Szczęście wróciło do Żegnańca i płonęło tak jasno, jak nigdy dotąd.

Ale pewnego dnia pokazał się konny posłaniec z pękiem wici. Stał pośrodku dziedzińca i ogłosił sejm w Kalinie, gdzie Sulisław miał stawić się w pełnym wojennym rynsztunku, aby z królem i panami radzić nad zagrażającym niebezpieczeństwem. Pan zamku rad nie rad musiał się oderwać od ciepłego kominka. W kilka dni później, okryty niedźwiedzim futrem, wyjechał z poczem stosownym do swojej pozycji.

Wiernemu Rupertowi dziesięć razy powtarzał, jak ma strzec zamku; w duszy drżał, aby Zyndram, dowiedziawszy się o jego wyjeździe, nie szukał zemsty. Żonie zwierzył się ze swych obaw i zaklinał ją na wszystkie świętości, aby nie ruszała się z zamku.

– Mam w Bogu nadzieję – mówił – że wszystkie tatarskie pogroźki skończą się na strachu. Gdyby wszakże naprawdę groziło jakieś niebezpieczeństwo, przyślę ci kogoś z ostrzeżeniem...

Elżbieta odprowadziła męża po ośnieżonej ścieżce aż do stóp góry, a mały Jasiek, uczepliwszy się ojca, w żaden sposób nie chciał go opuścić. Żalosalne było pożegnanie. Elżbieta nie mogła dać sobie rady ze wzruszeniem; jej twarz była mokra od łez. Sulisław miał w oczach niepokój. Nasunął czapkę i co żywo puścił się ku borom, gdzie wkrótce cały orszak zniknął wśród grubej płataniny gałęzi obwisłych od śniegu.

Elżbieta wracała pod górę, niosąc Jasia na ręku. Kazała spuścić bramę i podwoić strażę. Odtąd zaczęła pędzić dni samotne, przerywane tylko rozmową z kapelanem i zabawami z dzieckiem.

Drwale, przyjeżdżający z drzewem i smołą, opowiadali, że Tatarów już gdzieś widziano, że nawet podobno była wielka bitwa. Rano zastała niespokojną czeladź. Strażnik wieżowy widział przez całą noc wielką lunę.

Tylko patrzeć wieści od męża, pomyślała. Na wszelki wypadek trzeba się pakować. Kazała więc dziewczkom służebnym napełnić podróżne skrzynie, a sama zamknęła się w głównej sali, by spakować kosztowności.

Była tam kryjówka, o której nikt poza rodziną nie wiedział. Z ojca na syna przechodziła tajemnica schowka znajdującego się w głębokiej framudze. Dziad Sulisława, rycerz krzyżowy, co z Henrykiem Sandomierskim jeździł do Palestyny, przywiózł ten pomysł z jakiegoś wschodniego pałacu. Sulisław, wyjeżdżając na wojenną wyprawę, pokazał go żonie, nauczył sposobu otwierania i pilnie polecił jej pieczy. Były tam pergaminy rodzinne, prześliczna szkatułka, którą Elżbieta wniosła z wyprawą. W niej chowała swoje pierścienie, łańcuszki, kolce<sup>28</sup>. Głębiej znajdowały się garneczki i worki z pieniędzmi. Długo się namyślała, czy to zabrać. Wszakże wszystko może się przytrafić w podróży, zawsze pewniej w domu zostawić; nikt o skrytce nie wie. Skarbiec nie zginie.

Wzięła więc tylko tyle, ile, jej zdaniem, przyda się w drodze. Potem podeszła do stołu, gdzie leżały różne drogocenne przedmioty: księga z żywotami świętych, klepsydra i gliniana czarka, w której pływała róża jerychońska. Od miesięcy Elżbieta śledziła jej rozwój z niemal zabobonną troskliwością. Pamiętała słowa pielgrzyma: „Oby wam zakwitła i przyniosła szczęście”. Związała niejako istnienie tego kwiatu z losem własnym i z losami drogich sobie istot.

Nie zostawię ciebie, mój wróżebny kwiatku – szepnęła. – Ale jak cię tu zabrać?

Rzeczywiście, nie było łatwo zapakować tę drobną roślinę, by nie uszkodzić gałązek, zwłaszcza teraz, kiedy zmiękły. Elżbieta oparła się na stole, wyjęła różę z czarki i zastanawiała się nad wyszukaniem odpowiedniego pudzderka, gdy z głównej baszty rozległo się donośne trąbienie.

Mimo zadymki panującej na dworze, dostrzegła dwóch jeźdźców. Pędzili co koń wyskoczy. Tuman śniegu kłębił się wokół nich. Elżbieta rozpoznała bułanego konia męża. Ale na nim siedział ktoś inny... Dalej paż Feliś... Tak, to Feliś!

Zapomniawszy o ostrożności, otworzyła drzwi i przez sypialnię wybiegła na ganek.

Koń męzowski z zakapturzonym, ośnieżonym jeźdźcem zatrzymał się na dziedzińcu. Elżbieta zbiegła na dół, odsunęła rygiel i jak strzała przemknęła przez sień na dziedziniec. Kiedy była już blisko, rozpoznała jeźdźca.

<sup>28</sup> kolce – tu daw.: duże kolczyki. [przypis edytorski]

- Ludmiła! Ty tutaj! – krzyknęła. – Co z moim mężem? Żyje?
- Żyje, ale uciekaj, ty, Jaś, wszyscy! Tatarzy idą... Sandomierz spalony, wieś wyrżnięta. Kraj w ogniu! – wyrzuciła z siebie jednym tchem Ludmiła.

## Dziesięcinnia psota

Jaś, widząc, że drzwi do komnaty są uchylone, wetknął swoją złotą główkę. Gdy zobaczył, że w pokoju nie ma matki, wsunął się śmieiej. Jego uwagę od razu przykuł czarno ziejący otwór, którego nigdy wcześniej nie widział. Z początku chłopiec nieco się przeraził. Powoli jednak ciekawość zwyciężyła. Podeszedł bliżej i zaczął się przyglądać, co chwila zerkając ku drzwiom. Czuł, że w każdej chwili może być przyłapany na gorącym uczynku. Kiedy spostrzegł różę jerychońską, wszystko inne mogło już nie istnieć. Róża od dawna go fascynowała; marzył, by się nią pobawić, ale matka nigdy nie pozwalała jej dotykać. A teraz leżała sobie sama na stole i była wyjęta z wody. Wspiął się więc na krzesło, chwycił ją i zaciskając w dłoni, zeskoczył. Z zainteresowaniem przyglądał się zdobyczy.

Z początku trzymał gałązkę delikatnie, potem zaczął badać, skubać i szarpać. Próbował, czy jagody mocno się trzymają, czy nie można choć jednej z nich oderwać i rozłupać. Nagle usłyszał głos matki. Co tu robić? – zastanawiał się przerażony. Położyć różę na miejscu? Za wysoko. W ostatniej chwili, w dziecinniej rozpacz, cisnął gałązkę do otwartego na oścież schowka. Prawie w tym samym momencie weszła matka, a za nią kochana i nigdy niestrudzona towarzysząca zabaw, Ludmiła. Jaś uczeplił się jej sukni i wrzasnął z radości:

– Nareszcie jesteście! Gdzie byłeś? Gdzie się schowałeś?

Ludmiła nie odpowiadała na pytania dziecka. Patrzyła na przyjaciółkę, w której zachowaniu wyczuła coś dziwnego i niepokojącego. Elżbieta na widok otwartej kryjówki zrozumiała swoje sprzeniewierzenie się zaufaniu mężowskiemu. Instynktownie zaryglowała drzwi i zaczęła wstawiać kamienie. Trudno jej było dobrać odpowiednie, ponieważ zapomniała, w jakim porządku były ułożone. Ludmiła pośpieszyła z gorączkową pomocą. Nie pytała o nic, tylko jak najszybciej zabrała się do pracy, starając się zamurować otwór. Jaś patrzył na to wszystko i niczego nie rozumiał. Zastanawiał się, dlaczego obie tak się śpieszą i dlaczego są zdenerwowane. Ktoś zastukał do drzwi. Wreszcie kamienie się złożyły i deszczułka zapadła. Elżbieta odsunęła rygiel i ujrzała Ruperta.

– Któż to zamknął? Na miłość boską, trzeba się naradzić. Już kazałem wszystko do drogi gotować, co najkosztowniejsze zabierać. Może pani jeszcze co każe?

– Chłopów ostrzec – zawołała Elżbieta, przesuując ręką po czole i zbierając rozproszone myśli.

– Wieś całą zawiadomić, niechże i oni uciekają, tu nikt nie powinien zostać!

– Jak to nikt? Ja zostanę! Muszę bronić zamku. Pan mi go powierzył – odparł z dumą Rupert.

– Bronić zamku? A kto nas będzie bronił w drodze? To szaleństwo. Ilu masz ludzi? Trzydziestu? Cóż to znaczy przeciw Tatarom. Niech wezmą te mury, niech je zniszczą, spalą, byle wszyscy się uratowali.

Rupert po chwili wahania musiał przyznać jej rację, bo nic już nie odpowiedział. Spuścił głowę i wybiegł. Razem z nim wymknął się Jasio. Na dziedzińcu czekało go wiele atrakcji: siodłano konie, wytaczano sianie, ładowano juki i skrzynki; panował rwetes i zamieszanie.

– Może źle, że zamurowałam cały nasz majątek. Bezpieczniej byłoby zabrać... Może jeszcze wyjąć? – zastanawiała się na głos Elżbieta.

– Nie ma czasu, nie ma czasu – ponagliła Ludmiła. – Przecież murów nie będą rozbijali... Kiedyś to wszystko odnajdziesz. Teraz zabieraj, co możesz, i w drogę!

– Więc oni są tak blisko?

– Nie wiem. Widziałam ogromne łuny, ale trudno ocenić, jak daleko świeci łuna. Może są gdzieś daleko... A może wcale nie przyjdą... Najczęściej pojawiają się tam, gdzie się ich nikt nie spodziewa, jak w tym nieszczęsnym Witowie...

– Jak to w Witowie? – zdziwiła się Elżbieta, nic jeszcze nie wiedząc o losach tego miejsca ani o pobycie Ludmiły w klasztorze. – Przecież zostawiłam cię u królowej.

Tu Ludmiła w beładnych słowach zaczęła opowiadać o wszystkim, co się wydarzyło, kiedy na dziedzińcu odezwał się wielki dzwon na trwogę.

– O Boże! – krzyknęła Ludmiła. – To zupełnie jak tam, w Witowie...

– Nie bój się, Ludko. To chłopów zwołują, to dla nich znak, że zbliża się niebezpieczeństwo.

Istotnie, na odgłos dzwonu ścieżką pod górę zaczęły ciągnąć przestraszone tłumy. Ludzie cisnęli się do bramy, gdzie Rupert informował, jakimi szlakami najlepiej uciekać i z rozkazu Elżbiety rozdawał, co mógł, na drogę: kozuski i suchary ze składów zamkowych. Wszyscy mieli kierować się ku stronom śląskim. Ale kilka rodzin chłopskich, nie czekając na hasło dzwonu ani na zapomogę, po usłyszeniu pierwszych wieści ruszyło w stronę lasu, wioząc swój dobytek – trochę żelastwa do košby i żniwa, kilka garnczków, pasiastych poduszek i jakieś szare, bezbarwne toboły. Zewsząd sterczały płowe główki dziecinne, spomiędzy których od czasu do czasu wysuwał się różowy ryjek prosięcia lub gęś wyścibiała szyję.

Rupert, zadziwiająco przytomny i zapobiegliwy, szykował cały dwór na wzór karawany. Naprzód wysłał konno kilku dzielnych pachółków, żeby sprawdzili drogi i sprzątnęli zasy śnieżne. W tym czasie służba obiegiła Elżbietę, pytając, co ma zabrać, a co zostawić?

– Czy już można zamykać? – spytała służąca, stojąc nad czerwonym kufrem.

– Jeszcze nie, zaczekaj. Muszę włożyć różę. Gdzie moja róża? – denerwowała się Elżbieta. – Co to znaczy? Wszak była tu niedawno?

Niewiasty rzuciły się do szukania, odsunęły wielkie krzesła, czołgały się pod stołem, aż w końcu zniecierpliwiona Ludmiła przerwała poszukiwania.

– Ach, dajcie spokój, czy to warto tracić czas?

– I tak, moja pani, jeszcze nie można ruszać – odezwała się jedna z dziewczek. – Jegomość Rupert rozkazał faski nadziewać jadłem i beczułkę z winem zatoczyć na sanie. Powiada, że będziemy jechali przez puszcę i musimy się dobrze zaopatrzyć, aby nie pomrzeć z głodu.

W tej chwili Elżbieta, zatrzymując się przy uchylonym oknie, dostrzegła cizbę chłopów ciągnących pieszo, konno, wasażkami<sup>29</sup>, niby sieć rozciągnięta na śniegu od stóp góry aż pod same bory. Zaparła co żywo okiennice i zaczęła wołać na służebne:

– Zamykajcie kufry. Wszyscy uciekają. Prędeż, prędeż! Jasiu! I niechże już te dzwony przestaną bić tak przeraźliwie! Gdzie jest Jaś? A, jesteś! Chodź tu, kochanie, już jedziemy.

– A moje zabawki? – wołał chłopczyk, kiedy matka otulała go futrem i chustą.

– Nie warto ich zabierać – powiedziała Ludmiła. – Pojedziemy do wujcia, on ci da cacka, jakich jeszcze nie miałeś. Będziemy w dużym, dużym mieście. Zobaczysz Wrocław, a tam na kramach znajdziesz pełno biczyków, lalek i takich zabawek, o jakich ci się nie śniło.

Ale Jaś, nie dowierając obiecankom, podniósł z ziemi malutkiego drewnianego konika, który walał się wśród pozostawionych rzeczy. Wkrótce obie panie razem z dzieckiem wyszły na dziedziniec zatłoczony ludźmi i wozami. Przeprowadzano konie, kiedy w bramie pojawił się człowiek blady jak płótno, kiwający rękami na znak, żeby się wstrzymano. Był to jeden z pachółków, których Rupert wysłał w celu torowania drogi.

– Nie można! – krzyknął głosem zachrypłym od zadyszki i strachu. – Już tam są!

– Kto taki?

– Tatarzy! Jezus, Maryja, Józefie święty! Co to będzie?

– Jest jeszcze droga na Mazury! – krzyknął Rupert i wypadł za bramę, aby się dowiedzieć, czy ta strona pozostała wolna. Niedługo czekał na wiadomość.

Na górę szalonym pędem wracały chłopskie sanie pełne kobiet krzyczących wniebogłosy. Jedna z nich jęczała, przebita śmiertelnie sterczącą na wylot strzałą. Leżała na wózku, który pierwszy wyjechał, i to właśnie mazowieckim szlakiem. Na granicy lasu przywitano go strzałami.

– Jesteśmy otoczeni – rzekł Rupert grobowym głosem. – Zamknijcie ze wszystkich stron. Nie pozostało nam nic innego, jak obwarować się w zamku i przynajmniej drogo sprzedać życie.

---

<sup>29</sup> wasażek – mały wasąg, prosty wóz konny o burtach wyplatanych z wikliny. [przypis edytorski]

Na dziedzińcu nastąpiło milczenie. Wszyscy cisnęli się za mury i palisady zamku. Rupert, stojąc przy bramie, wyprawiał niewiasty i dzieci do gospodarczych budynków, mężczyznom naznaczał stanowiska na basztach i pod ostrokołami. Kazał podnieść most, zatarasować bramę i rozciągnąć łańcuchy. Potem poszedł do kuchni i polecił, by w dużych kotłach nastawiono wodę. Na koniec skierował się ku sali, gdzie siedziały panie. Milczały. Nawet Jaś przestał skakać; przestraszony ukrył główkę na łonie matki. Nagle w sali zrobiło się ciemno. Potem coś dziwnie błysnęło i huknęło w okno. Świszcząca strzała mignęła pod pułapem i utkwiała w ławie przed kominkiem.

## Szturm

Już od kilku godzin żegnaniński zamek odpierał szalony szturm. Cała góra wypełniła się barbarzyńcami, w okolicy roży się konie, wozy, trzoda i wielbłądy.

Ludmile niebezpieczeństwo zawsze przywracało przytomność umysłu. Stała w kuchni przy kotłach i rozdawała wiadra z ukropem oraz garnki pełne rozparzonych jagieł. Kobiety roznosiły je po murach i wylewały ten kipiący deszcz na głowy napastników. Już i drew, i kaszy zaczęło brakować, już kominy mało nie pękały od żaru, a co jedni padali oparzeni albo zestrzeleni, to nowi napastnicy wspinali się po trupach.

Elżbieta siadła w głębi sypialni, przyczajona za ogromnym piecem, z Jasiem, który przytulał się do matki i obejmował jej szyję. Kilka razy chciała wstać i pośpieszyć innym z pomocą, ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa, a serce pękało na myśl, że ma zostawić synka.

– Jeśli ma zginąć, to razem ze mną... I ty, Ludmiło, ukryj się tu z nami... Nie odchodź!

Ludmiła wiedziała, że już nie ma po co odchodzić, bo liczba nieprzyjaciół rosła, a obrońców ciągle ubywało. Co chwila któryś padał ze strzałą wbita w szyję albo w głowę. Kapelan pochylał się nad umierającymi i błogosławił ich przed ostatnią podróżą.

Przez wrzawę, jakby wahadło olbrzymiego zegara, przebijało się równe uderzanie toporów. Kamienne ściany zamku były najmniej obłożone. W najslabsze, złożone tylko z ostrokołów, miejsca wróg uderzał najzjadlej. Szeregi toporników zmieniały się nieustannie. Bili też do bramy i do okien, ale okna były zakratowane, zaparte grubymi okiennicami, a brama broniła się zębami żelaznej brony i pokrzyżowanymi łańcuchami. Nagle krzyki ucichły, topory się zatrzymały. Obrońcy spojrzeli po sobie i zamiast odetchnąć, stracili wszystkie siły i nadzieję, jakby już zegar ich życia stanął. Ludmiła tuliła Elżbietę i Jasia w milczącym uścisku.

– Zobaczą, dlaczego tak cicho. Nie ruszaj się z dzieckiem, tu was przynajmniej strzały nie dosięgną – powiedziała i wybiegła z sypialni.

Wokół zamku działy się dziwne rzeczy. Tłumy Tatarów płynęły jak czarne wody. Kilku z nich niosło drogą wysoki na kształt masztu, na którym siedziało dziwaczne stworzenie, rysujące się na tle mrocznego nieba jak rozczapierzony smok. Nagle straszdyło zakreśliło się z rykiem podobnym do grzmotu i rzygnęło półkolistym strumieniem trzaskającego ognia. W zamku powstał śmiertelny popłoch. Obrońcy z krzykiem rozpierchli się w różne strony. Nawet Rupert opuścił oręż. Z ludźmi można walczyć po ludzku, ale co począć przeciw sile sprzymierzonej z piekłem! Stał, patrząc obłądnymi oczami na tłumy, które nie chciały go słuchać. Z nagłą uderzył się w czoło i zaczął biec z innymi. Po drodze spotkał Ludmiłę. Kapelan torował jej drogę.

– Za mną, do kuchni!

– Po co?

– Nie pytajcie, tylko chodźcie! – krzyczał Rupert. – W kuchni zaczął im podawać suchary, ser, dzbany, co tylko mógł pochwycić. – Zanieście to do pani. Zabierzcie również świece i pochodnie, ile tylko znajdziecie.

Obładowany Rupert pobiegł także za nimi, a gdy znaleźli się w sali jadalnej, pozasuwał wszystkie drzwi na rygle, zatarasował je ciężkimi ławami. Czas było zamykać. Działko obnoszone dookoła zamku rozsiewało niesłychane zniszczenie. Pociski ognistą tęczą spuszczały się do środka, zapalały gonty na drewnianych przybudówkach oraz nadgryzały ostrokoły. Na koniec działko postawiono przed bramą, wszystkie mury zatrzęsły się od huku, część bramy prysnęła w kawały. Tatarstwo zaczęło się walić na dziedziniec.

Rupert z Ludmiłą i kapelanem znieśli zapasy do sypialnej komnaty. Naczelnik zamku rozejrzał się po sali i mruknął:

– Pięcioro, to i tak za wiele. – Zaryglował drzwi od jadalni i zwrócił się do Elżbiety: – Pani, właśnie tu, gdzie siedzicie, jest zejście do podziemi. Tam będziemy mogli się ukryć i przetrwać nieszczęście.

Elżbieta ocucona promieniem nadziei zerwała się na równe nogi. Rupert oddał pochodnię kapelanowi, a sam wyjął jedną ze sztab okiennicowych i zaczął nią podnosić kamień leżący w głębi zapiecka. Kamień ten, szczelnie zewsząd przypasowany i podobny do innych, w jednym tylko miejscu posiadał wyżłobienie. Po chwili uniósł się, skrzypiąc na zardzewiałych zawiasach, i wszyscy ujrzeli otwór z krętymi schodkami prowadzący w czarną czeluść. Rupert wrzucił w otwór suchary i pozostałe zapasy żywności.

– Niech lecą, odnajdziemy je na dole. Gdzie są świece?

– Świec nie mamy – rzekł kapelan. – Ale są dwie pochodnie.

– To źle, bardzo źle – burknął gniewnie Rupert.

– Czekajcie, zaraz przyniosę – zawołała Ludmiła, biegnąc ku maleńkim bocznym drzwiom.

Była pewna, że nieprzyjaciel jeszcze tam nie wtargnął. Odemknęła zasuwę i znieruchomiła. Pod ścianą leżał Feliś z zakrwawioną pierśią. Jego niegdyś figlarne oczy teraz były wypełnione majestatem konania. W głębi korytarza szamotało się dwóch mężczyzn. Byli tak zajęci walką, że nie spostrzegli dziewczyny. Szybko zamknęła drzwi, zaparła zasuwę i stając nad wejściem do podziemia, szepnęła:

– Chodźmy.

Elżbieta wzięła dziecko na ręce i drżąc ze strachu, zaczęła schodzić po wąskim ślimaku schodów, tuż za kapelanem. Za nimi szła Ludmiła obładowana dzbankami, potem Rupert z pochodnią. Już zbiegł kilka stopni, już chciał spuścić kamień, kiedy nagle przypomniał sobie o czymś bardzo ważnym.

– Sztaba! Zostawiłem sztabę! Czym otworzymy na powrót wyjście. – Wyskoczył na zewnątrz, porwał sztabę i wrócił, wołając półgłosem: – Wyłamują drzwi!

Natychmiast spuścił za sobą kamień, który z przeciągłym echem opadł nad nimi niby grobowe wieko.

## Piekło

Znaleźli się przed niskimi, ciężko okutymi drzwiami. Rupert z pęku kluczy dobrał jeden, otworzył dawno nie używany zamek, a gdy drzwi odchyliły się z trudnością, skrzypiąc na gruzie, którym próg był zasypany, ujrzeli wąski korytarz gdzieniegdzie podparty kamiennymi arkadami. Był tak długi, że jego końca nie można było dojrzeć. W pierwszej chwili uderzyła ich i zdziwiła zarazem cisza, jaka tam panowała. Zdawało się, że cały Żegnaniec, szturm i Tatarstwo było gdzieś na innym świecie.

Gromadka ruszyła zwawo, wiedziona przez Ruperta, który na zakrętach zatrzymywał się, podnosił pochodnię, czasem rozgarniał mieczem nasypiska utworzone z opadającego ze ścian gruzu. Tego typu przeszkody utrudniały drogę. Musieli iść ostrożnie. Chodnik czasem piął się pod górę, a czasem spadał stromo w tajemniczą otchłań. W zagęszczonym powietrzu pochodnia świeciła coraz słabiej. Minęło jakieś pół godziny mozolnej wędrówki, kiedy Elżbieta zatrzymała się mówiąc:

– Już nie mogę... Jakże tu duszno, jakże okropnie...

– Jesteśmy prawie u celu – pocieszał Rupert. – W połowie drogi znajduje się w sklepieniu otwór, który wychodzi na pieczarę schowaną głęboko w puszczy. Gdyby nie ta szczelina, nie można byłoby tu oddychać. – Za chwilę staną i pokazał wąskie pęknięcie w kamieniach: – Oto jest!

Niebo tu nie zaglądało; szpara wychodziła na czarną jaskinię, ale powietrze było rzeczywiście rzeświejsze. Wszyscy głęboko odetchnęli. Wkrótce przewodnik oświadczył, że można spocząć. Siedli na kupkach rumowiska, tylko Rupert stał ciągle bez ruchu i z niepokojem malującym się na twarzy wpatrywał się w tunel.

– Czy ta droga kiedyś się skończy? Dokąd ona prowadzi? – niecierpliwiła się Ludmiła.

– Do Hły – oznajmił Rupert.

– Jak to? Aż do Hły? – zawołali zdumieni uciekinierzy. – Wszak to tak daleko!

– Daleko dla tych, którzy muszą okrążyć bagna i górę pośród lasu. Ale pod ziemią droga idzie prościuchno, pod samym sercem puszczy, i tu dopiero można się przekonać, jak Żegnaniec jest blisko Hły. Już niedługo dojdziemy do drugich drzwi, takich samych jak tamte.

– A co będzie za tymi drzwiami?

– Główna baszta iłżeckiego zamku. – Rupert odpowiadał cierpliwie na wszystkie pytania.

– I któż to tak urządził? – zapytał kapelan.

– Dziad mojego pana, co to wojował u Grobu Świętego. Jeżdżąc po świecie, dużo się nauczył. Żył w serdecznej przyjaźni z ówczesnym panem Hły; czy pokój, czy wojna zawsze z sobą trzymali, a dla wspólnego bezpieczeństwa wybudowali to potajemne przejście.

– I ja nic nie wiedziałam – rzekła Elżbieta – że w mojej własnej komnacie znajduje się wejście do takich lochów. Jakie to szczęście, że się tędy kto nie zakradł do nas!

– A któż miał się zakraść, moja pani? Dotąd tylko czterech mężczyzn wiedziało o tym przejściu: w Żegnańcu mój pan i ja, a w Hły biskup krakowski i dowódca tamtejszej załogi, który także posiada klucze. Pan zawsze wyjeżdżając powtarzał: „Mój Rupercie, pilnuj dobrze podziemia i nie używaj go, chyba że w ostatecznym niebezpieczeństwie”. Zdaje mi się, że dziś było ostateczne.

– Rupercie, źle zrobiłeś. – Elżbieta podniosła ku niemu spojrzenie pełne wyrzutu. – Trzeba przecież było od razu, na pierwsze hasło napadu, ukryć tu wszystkich. A tyś ich tam zostawił na rzeź! Dlaczego tylko nas ratujesz i dlaczego tak późno?

– Moja pani, czymże by te kilkaset ludzi tu wyżyło? Dajmy nawet na to, że udałoby się nam uratować dostateczne zapasy jada, ale co byśmy pili? A przy tym wstrzymywał mnie strach... taki wielki strach, że i was dopiero w ostatniej chwili odważyłem się tu sprowadzić. Żegnaniec wzięty, trudno przypuszczać, aby Hła nie była także obleżona. Ja się bałem, czy dowódca tamtejszy nie spróbował tej drogi. Czy tu nie zastanę ludzi, mieszkańców Hły, a może i Tatarów? Bóg łaskaw, że jesteśmy sami, ale niebezpieczeństwo grozi z obydwóch stron.

– Więc którędy my wyjdziemy? – zapytała zaniepokojona Ludmiła.

– Tego ja nie wiem, najlepiej byłoby przeczekać. Może po kilku dniach, nie mając już nic do rabowania, Tatarzy odejdą?

– Po kilku dniach – westchnęła dziewczyna.

Zapanowało głucho milczenie. Przerwał je Rupert, oznajmiając stanowczo:

– Nie, nie można czekać. Pochodnia się dopala, została nam tylko jedna, ostatnia. Zapasy żywności starczyłyby na długo, ale brakuje nam światła. Poza tym ta droga w kilku miejscach krzyżuje się z innymi. Dla zatrąty przeciwnika i dla zmylenia pogoni porobiono boczne fałszywe korytarze, które prowadzą do wąskich, bezdennych przepaści. Póki dobrze widzę, póty wiem, że nie błędę. Znam doskonale te korytarze. Spójrzcie, na ścianach znaczony są czerwonymi krzyżami. Ale bez światła za nic nie ręczę... Mógłbym się omylić, zejść prosto w przepaść. Mniejsza o mnie, ale wy, bez przewodnika i bez pochodni, zginęlibyście żywcem pogrzebani.

– Cóż robić? – pytały białogłowy.

– Trzeba spróbować drugiego wyjścia. Może Iłża jest jeszcze wolna? Może my tu próżno tracimy czas, który powinniśmy wykorzystać na ucieczkę? Byle dostać się w głębokie lasy, to już pół zbawienia.

– A klucz od tamtych drzwi? Gdzież go znajdziemy? – zagadnął kapelan.

– Mam go ze sobą, tak jak dowódca iłżecki ma klucz od naszej strony. Zaczny człowiek, można na niego liczyć – powiedział Rupert i zaczął otwierać drzwi, ale zardzewiały zamek stawiał opór. – Już dawno nikt tu nie zaglądał. Za naszego pana życie szło jakoś tak spokojnie!

Wreszcie odemknął drzwi i wbiegł na ślimakowe schodki. Po chwili wrócił. Milczał, widać było, że się waha.

– No i cóż? – zapytał kapelan.

– Nie miałem odwagi podważyć kamienia, tylko słuchałem. Nie wiem... nie jestem pewien. Może to mnie tak w uszach szumi. Przez płytę kamienną źle słyhać. Przed chwilą miałem wrażenie, że mam nad głową jakieś szumiące jezioro...

– Może teraz ja posłucham – rzekł kapelan i zaczął wspinać się na szczyt schodów.

Ale ów szum tak się rozrósł, że nawet na dole słyhać go było wyraźnie. Był to przygłuszony, olbrzymi tumult, z którego wystrzelały od czasu do czasu jakieś pojedyncze głosy. Z nagła krzyki ucichły. Krótką chwilę ciszy rozerwał niepokojący, wyuzdany śmiech. Uciekinierzy schronili się w głębi korytarza, zawarli drzwi i stanęli oparci o ścianę. Tkwili w bezruchu. Wszystkim się zdawało, że już i od Żegnańca dobiegają głosy napastników. Po chwili usłyszeli łomot spadającego kamienia. Zamek warknął i na progu stanął przywódca iłżeckiej załogi, prowadzący, a raczej niosący omdlałą matkę. Nie zdążył zamknąć drzwi; po schodach waliło Tatarstwo z pochodniami i główniami. W ich blasku czerwono migotały krzywe szable i krwawe oczy.

Rupert stanął przed kobietami. Oprócz miecza trzymał sztabę, którą odepchnął i zakrwawił dwóch pierwszych napastników. Widok krwi rozpaszał tłuszczę; wyważone drzwi trzasnęły jak drzazga i całym ciężarem przywaliły dowódcę. Byłby się może podźwignął, ale tłum zaczął stąpać po drzwiach i natychmiast zdławił jęki Ruperta.

Elżbieta krzyknęła rozpaczliwie. Zerwała z piersi chustę i owinęła Jasia, chcąc go ukryć przed napaścią i jednocześnie ochronić przed widokiem rzezi. Wokół słały się trupy. Obok Ruperta leżał dowódca iłżecki. Kapelan zdjął z piersi złoty krzyżyk, podniósł go nad głowami dziczy, modląc się cicho o siłę do męczeństwa.

Nagle tłum, mimo wrzawy i zamieszania, rozstał się. Żołdacy przyrosli do ścian, dając przejście kilku mężom, którzy z wielkim szczękiem zbroi zstępowali po schodach. Na czele szedł młody, postawny mężczyzna. Spod hełmu opadał mu na ramiona i szyję kolczugowy czepiec, odsłaniając długą, jednostajnie żółtą twarz. Przy czerwonych błyskach pochodni złota cera gdzieś przybierała połyski miedzi. Na tym tle odznaczał się nos nieco wklęsły, ale kształtny, oczy nieco skośne, ale pełne światła i blasku, jakby perłową masą wyłożone, i usta nieco za grubo

wywinęte, ale świeże i przyciągające łakomym uśmiechem. W pięknym, suto haftowanym złotem stroju ów mongolski rycerz był wspaniały i straszny zarazem. Tuż za nim podążał wojownik, równie suto obsypany złotem, równie butny, choć dużo niższy i starszy. Potem ciągnęli inni, wszyscy wspaniali, weseli, pogardliwi i zwycięscy.

Gdy weszli do podziemia, wódz wprawił niewiasty w podziw i ofiarował promyk nadziei. Zobaczywszy nad głowami tłumu krzyż, padł na kolana i trzy razy uderzył czołem o ziemię. Następnie wstał, wyrwał krzyż z ręki księdza, ucałował i włożył za swój kaftan. Inni patrzyli obojętnie, ani mu się dziwiąc, ani naśladując. Mężczyzna wskazał Elżbietę innym wodzom, którzy natychmiast ją otoczyli i wywiedli po schodach razem z dzieckiem, a sam objął lekko ramieniem kibić Ludmiły i wyprowadził z rodzajem zastraszającej mongolskiej uprzejmości.

Wszystko to zaszło dość łagodnie, bez gwałtu, płaczu, szamotania; niewiasty były tak zszokowane, że nie stawiały żadnego oporu. Elżbieta pomyślała, że jeżeli ma zginąć, to lepiej pod niebem, wszędzie, byle nie w tym podziemiu.

Wkrótce zostały wprowadzone do izby. Na jej progu, mimo całej odwagi, która dotychczas im towarzyszyła, stanęły z okrzykiem przerażenia. Wnętrze komnaty było upiornie czerwone, jakby żarzyło się ogniem. Choć na niebie była jeszcze głęboka noc, luna znad palącego się miasta, wpadając przez drzwi i okna, rzuciła straszliwe światło, które potęgowało się, odbijając w lustrach krwi pokrywających podłogę. Spod ławek majaczyły w półcieniu trupy mężczyzn, obok pieca stało kilka niewiast, wybałuszając osłupiałe, prawie obłąkane oczy i otulając się w strzępy podartej odzieży. Gromadka dzieci, powiązanych ze sobą i piskliwie popłakujących, roiała się w kącie.

Na samym środku izby stał wielki stół, zastawiony misami pełnymi jadła i kubkami o dziwnych kształtach. Po prawej stronie czerniały niskie drzewiczki od jakiejś mniejszej izby, skąd dochodziły ochryple od pijaństwa głosy oraz łkania kobiece, przycichłe, jakby już konające. Tatarzy, syci rzezi i rabunku, już widocznie zabrali się do zwycięskiej uczty, którą przerwało odkrycie podziemia. Była to dość przyjemna niespodzianka, obiecująca nowy łup i zabawę.

Elżbieta i Ludmiła stały jak skamieniałe. Nie miały odwagi przestąpić przez próg; od razu wpadłyby w rude kałuże, a przy tym odurzał je zapach krwi i trunków, który nawet po duchocie podziemia wydawał się nie do zniesienia. Ale Tatarzy nie dali chwili do namysłu i energicznie wepchnęli je do środka. Po kilku nieśmiałych krokach kobiety siadły na bocznej ławie, a wojownicy zaczęli gromadzić się wokół stołu, prowadząc w niezrozumiałym języku bardzo ożywioną rozmowę. Wódz w kołczugowym czepcu chwycił osobliwy kubek, którego Tatarzy używali wyłącznie do kumysu<sup>30</sup>, i skierował się ku Ludmile. Przemawiał grzecznie i spokojnie, sądząc, że tym dowodem łaskawości ujmie ją i rozbroi. Ale branka odwracała głowę ze wstrętem i wyciągnawszy obie ręce, silnie go odepchnęła. Wtedy Mongoł zerwał żółtą jedwabną wstęgę z kołczanu, związał ręce dziewczyny i ponownie przystawił kubek do jej ust.

– Wypij choć trochę, by się nie rozgniewał – szepnęła Elżbieta. – On całował krzyż, może się zlituje, przynajmniej nad Jasiem.

Ludmiła, mimo całej odrazy, przysunęła usta do kubka i spróbowała napoju. Był obrzydliwy, odurzający. Po kilku łykach skinęła lekko głową, i dając znak, że ma dosyć. Mongoł zaśmiał się radośnie, rozwiązał jej ręce i wpatrywał się w nią z podziwem, który mroził ją do kości. Olśniony, zmagnetyzowany, złożył ręce na piersiach. Patrząc zachłannym, pełnym uwielbienia wzrokiem, powiedział:

– A! *Krasna*<sup>31</sup>!

<sup>30</sup> *kumys* – musujący napój ze sfermentowanego mleka końskiego, zawierający od 1% do 3% alkoholu. Ważny element kultury wielu ludów centralnej Azji. W XIX w. w Europie był nazywany **mlecznym szampanem**. [przypis edytorski]

<sup>31</sup> *krasny* (z daw. rus. *красный*: czerwony a. ładny) – piękny. [przypis edytorski]

Ludmiła, usłyszawszy ten słowiański wyraz, padła na kolana i zaczęła prosić o litość, o łaskawy los dla siebie, Elżbiety i jej dziecka. Błagała, aby ich nie rozdzielano. Wódz wysłuchał uważnie, łagodnie, ale niczego nie rozumiał. Wreszcie klasnął w ręce i grzmiącym głosem zawołał:

– Wasynga!

Wnet w drzwiach stanął chłop w ciemnym tułubie<sup>32</sup>, przewiązanym różnobarwnym pasem. Na pierwszy rzut oka widać było, że nie jest Tatarem. Miał płowe włosy, czerwony kark i szkliste niebieskie oczy. Przystąpiwszy do wodza, padł na krwawą ziemię i trzy razy uderzył o nią czołem. Kiedy wstał, po jego twarzy spływała wąska strużka krwi. Ale Wasynga nie zważał na to; stał wyprostowany i słuchał. Potem zwrócił się do Ludmiły i mieszaniną słów, której treść główna była dla niej zrozumiała, wyraził pytanie:

– Zacny behadyr<sup>33</sup> chce wiedzieć, o co go tak prosisz?

Branka powtórzyła prośbę. Wasynga przetłumaczył ją wodzowi i rzekł:

– Wielki behadyr Ajdar pyta, dlaczego nie chcesz być rozdzielona z tą kobietą. Mądry behadyr osądził, że za młoda na twoją matkę, a nie wygląda na siostrę, bo nie jest do ciebie podobna.

– Twój pan ma rację – odparła Ludmiła. – Powiedz mu, że tę kobietę kocham więcej niż siostrę, bo to moja najdroższa przyjaciółka, a przy tym kocham ją jak matkę, bo winnam jej wiele dobrego.

Wasynga przetłumaczył odpowiedź, powtarzając kilkakrotnie i z jakimś naciskiem wyraz *anda*. Wódz skinął głową i rozkazawszy Wasyndze stać u progu, wyszedł. Po chwili ujrzały go znowu. Wydał Wasyndze jakiś rozkaz i wcale już nie spojrzawszy w ich kierunku, odszedł. Chłop tymczasem wyjął z kieszeni sznur długi, dosyć miękki i obwiązał nim Ludmiłę oraz Elżbietę z Jasiem na rękę.

– Behadyr bardzo łaskaw. Kazał związać was dobrze, by w tłumie przypadkiem was nie rozdzielono. Prosił też starszyszą, abyście nie były oddane na łup żołnierzom, ale przeznaczone dla wodzów. Tak, będziecie dla któregoś z behadyrów, może chanów, a może – dodał kłaniając się ku Wschodowi – dla samego wielkiego chana. – Uśmiechnął się przyjaźnie, sądząc, że pocieszył branki. Widząc ich zachmurzone oblicza, powiedział: – Musiałyście przecie spostrzec, jakim uszanowaniem wszyscy was otaczali! Nikt jeszcze nie wie, czy nie przypadniecie wielkiemu chanowi.

– I kiedyż to się rozstrzygnie?

– O, jeszcze nie teraz. Dopiero po przekroczeniu granicy przyjedzie wielki urzędnik chański i z najlepszej zdobyczy wybierze to, co mu się wyda godnym oczu monarszych. Resztę rozda wodzom, wedle ich zasługi. Proste pospólstwo i brzydkie dziewczki bywają od razu oddane, ale dla niewiast pięknych i znakomitych zaci Mongołowie, jak widzicie, mają względy.

Żołdak mówił spokojnie, ale treść wypowiedzianych słów była tak złowróżbna, że brzmiała jak najgorsze groźby i kłatwy. Kiedy Tatarzy wyszli z izby, mężczyzna nagle odmienił twarz i głosem pełnym współczucia szepnął:

– Zrobię dla was, co będę mógł. Cóż, kiedy niewiele mogę...

Zaskoczone niewiasty podniosły wzrok na Wasyngę i już chciały dziękować, ale w tej samej chwili kilku uzbrojonych rycerzy wtargnęło do izby. Żołdak nasrożył brwi i machając w powietrzu nahajką, krzyknął na branki:

– No, jazda!

Wszyscy troje wyszli na ulicę. Szarzał poranek, kłócąc się z łunami pożarów. Rosa pół deszczowa, pół śnieżna mżyła niewidzialnie, ale dotkliwie. Niewiasty omijały ciała zamordowanych oraz skrzynie ze zdobycznym sprzętem, ładowane na wózki. Szły wśród tłumu brańców i branek, tuląc do siebie Jasia.

– Jakie to szczęście, że ten żołdak nas związał! Wszystko przetrwamy, byle razem!

---

<sup>32</sup> *tułub* (ros. *мышьян*, z tur. *tulup*: skóra, futro) – kozuch. [przypis edytorski]

<sup>33</sup> *behadyr* a. *bagatur* – tur. i mong. tytuł, nadawany przez władcę szczególnie walecznym wojownikom. Źródłostów polskiego wyrazu **bohater**. [przypis edytorski]

Na zakręcie ulicy spostrzegły kapelana pędzonego w kupie jeńców. On też je zauważył. W ostatniej chwili, w geście błogosławieństwa, uczynił w powietrzu znak krzyża i zniknął za palącym się domem.

## Przy ognisku

Wieczory i poranki mieszały się w pamięci, wszystkie były do siebie podobne. Kraj ciągle taki sam, miasta spalone, pustka. Branki wiedziały, że już dawno opuściły Polskę. Jedni mówili, że są na ziemiach ruskich, inni, że na ziemi Kumanów<sup>34</sup>, gdzieś na granicach Kapczaku.

Jeńcy z wolna ciągnęli się za ordą, jak ogon za kometa. Każdy dzień był pełen rozpacz i tęsknoty za rodzinnym domem. Elżbieta i Ludmiła niosły ze sobą okrutną niepewność. Nie miały żadnych wieści o losie Sulisława. Dopytywały się bez końca, ale na próżno, nikt o nim nie słyszał. Pewnego wieczora spotkały kilku jeńców, którzy przynieśli świeże, ale niestety bardzo żałosne wiadomości.

Obozowisko noclegowe zostało rozbite niedaleko potężnego Dniestru. Rozpalono ogniska, pożądane przy chłodzie nocy. W ostrym powietrzu czuć było pierwsze tchnienie wiosny. Przy ogniu brańcy gotowali biedną strawę. Nie dla wszystkich była ona jednakowa. Pospólstwo, a zwłaszcza mężczyźni dostawali mało, wybranym niewiastom i dzieciom straż przydzielala więcej pożywienia, aby je utrzymać przy zdrowiu i siłach.

Tego wieczora Elżbieta i Ludmiła dostały duży garnek mleka i kawał baraniny. Mięso upiekły na rożnie wystruganym z jakiejś twardej gałęzi. Nakarmiły Jasia, a potem, kiedy część ludzi posnęła, zaprosiły do ogniska kilku brańców, którzy, ich zdaniem, mieli najświeższe informacje. Mężczyźni rzucili się na pieczeń z istic wilczym apetytem. Jaś usnął w objęciach matki. Wasynga, siedząc opodal, kiwał się i udawał, że śpi. Ognisko migotało przy podmuchach wiatru, szum Dniestru dolatywał jak tłumione łkanie. Jeńcy rozmawiali półgłosem.

– Zostałem wzięty pod Chmielnikiem w samą białą niedzielę – powiedział młody, wynędzniały giermek Sylwester. Miał głowę obwiązaną pokrzwawionymi szmatami.

– To w kilkanaście dni po bitwie pod Turskiem<sup>35</sup> – zagadnęła Ludmiła.

– Tak. Jeszcze tam, pod Turskiem, to nieźle się udało. Już my wszyscy myśleli, że to szelmstwo na dobre sobie poszło. Jak przepadli w Puszczy Strzemeskiej, tak i oko wykol, a Tatara nigdzie nie widać. Jednakowoż wojewoda Włodzimierz zbierał, kogo mógł...

– I któż tam był? – zainteresowała się Elżbieta. Nie śmiała pytać wprost, bo nieraz już dostrzegła, że przez litość tajono imiona poległych mężów i braci.

– Niewielu, niewielu, ale wszystko tędy rycerze i porządne giermki. Stali my w kupie i pilnowali drogi do Krakowa. Co tam drudzy robili, nie wiem, alem ja bił się za trzech. Jużem trzy dusze pogańskie wysłał do Belzebuba, a tu ni stąd, ni zowąd jakiś okropny Tatarzyn, jak mnie nie łupnie siekierą w łeb, to siedem kościołów stanęło mi w oczach. Rymnąłem z konia i dalej nie wiem już, co się działo. Może to i lepiej, bo działy się złe rzeczy. Najlepsi wyginęli.

– Kto? – dopytywała się Elżbieta.

– A no kto! Najprzód sam wojewoda krakowski, Włodzimierz.

– Zginął – westchnęła Ludmiła. – Szkoda. Widziałam go w ciężkich godzinach, nic go nie mogło złamać.

– Cóż chcecie? Wszystko się w końcu łamie. Póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie. A oberwało się i drugie ucho; zarąbano wojewodę sandomierskiego, Pakosława.

– A kto zginął z rycerzy, ze starszyzny?

---

<sup>34</sup> *Kumanowie* a. *Połowcy* – altajski lud, posługujący się językiem z grupy kipczackiej; od VIII w. wędrowali z rejonu dzisiejszego Kazachstanu na tereny obecnej Ukrainy, w XII w. wyparci przez władcę Rusi Kijowskiej za Don i Wołgę, wchodzili w koalicje z książętami ruskimi, ich wodzowie wżeniali się w dynastie panujące w Serbii, Węgier i Bułgarii, ale także organizowali najazdy na te ziemie. W następnych wiekach zasymilowali się wśród ludów Złotej Ordy. Połowiecki dostojnik, sprzedany w niewolę do Egiptu, założył tam dynastię rządzącą w latach 1250–1382. [przypis edytorski]

<sup>35</sup> *bitwa pod Turskiem* (1241) – bitwa pomiędzy wojskami polskimi dowodzonymi przez wojewodę krakowskiego Włodzimierza a wojskami mongolskimi dowodzonymi przez Bajdara, które zwyciężyły. [przypis edytorski]

– O święci pańscy! Jak tu się doliczyć? – zastanawiał się giermek. – Zaraz, czekajcie. Zabity podobno Krystyn z Niedźwiedzia... Wojciech Stampoczyk to na pewniaka, samem widział. I różni jeszcze sławni: Grabina, Mikołaj Witowie... Sulisław...

– Boże! – krzyknęła Elżbieta, podrywając się gwałtownie.

Przestraszony Jaś otworzył oczy i zaczął płakać. Wielu śpiących podniosło głowy. Powstał szmer. Wasynga zerwał się i wrzasnął:

– Spokój! Cicho siedzieć!

Po chwili wszystko przycichło. Elżbieta ukryła twarz w dłoniach i pogrzyżyła się w niemej rozpacz. Ludmiła pochyliła się w stronę giermka i szepnęła:

– To był jej mąż.

Blady, łagodny staruszek Szymon, który siedział po drugiej stronie ogniska, uśmiechnął się lekko i wtrącił:

– Ten pacholek po próznicy napędził wam strachu. Tego Sulisława nie mogli tam zadźgać, kiej potem. W kilka niedziel później ja go na żywe oczy widział pod Legnicą.

– Naprawdę?! – zawołała Elżbieta ocucona tą wieścią. – To był Sulisław z Żegnańca? Między rycerstwem jest kilku Sulisławów...

– A tego to ja już nie wiem, czy on z Żegnańca, czy z Różańca. Wiem jeno, że bił się okrutnie i wyszedł żyw i cały. Potem ludzie gadali, że z królem Bolesławem pojechał na Morawy.

– O, dzięki Bogu! Masz ojca – rzekła drżącym głosem Elżbieta, przytulając i całując rozespiane dziecko.

Tymczasem giermkowi pilno było dokończyć przerwana opowieść.

– Jak otwarłem oczy i zobaczyłem, że jeszcze na tym świecie, to się nie mógł nadziwić. Rogata musi być we mnie dusza, kiedy nie uciekła przez dziurę, którą mi w głowie wywiercono. Leżałem na twardym wozisku, przy mnie pełniutki rannych. Jakieś poczciwe niewiasty, także w niewolę wzięte, opatrywały nam rany, przykładwały zimną wodę. Alem się nacierpiał, kiedy wozy trzęsły po kamieniach. I tak w samą kwietniową niedzielę, zamiast iść po śliczną palmę do katedry, zajechali my pod Wawel w łykach.

– Dopiero okropności musiały się dziać tam, w Krakowie – stwierdziła Elżbieta.

– Ja myślał tak samo i nie śmiał oczu otworzyć. A tu krakowczyki wypłatali Tatarom zapustnego<sup>36</sup> figla. Wynieśli się na bory i lasy z całym ochędóstwem<sup>37</sup>. Królestwo, a z nimi dwór, zabrało z zamku skarbiec i pojechało gdzieś za góry. Księża zabrali wszystkie kosztowności z kościołów, a mieszczuchy zapakowali, co mieli, na wózki i przepadli. Kiedy my wjechali do miasta, było puściuteńkie. Jednakowoż, jak zaczęli przetrząsać, macać, tak i znaleźli żywą duszę – zamurowanego pustelnika.

– Ojca Pawła – zawołały jednocześnie obie niewiasty.

– A tak, ojca Pawła. Właśnie nas Tatarzyska pędziły przez miasto, kiedy na placu targowym czterech łotrów ciągnęło ojca Pawła do chana, który siedział pod kościołem Panny Maryi. Pustelnik wyglądał osobliwie. Był całkiem bielusiętki, aż bił w oczy. Broda po pas wisząca jak obłok, włosy roztrzęsione wokół głowy jak korona gwiazdzista, twarz i ręce jak śnieg jasne, wszystko białe a białe. Czy to wieczne posty i ciemnice tak go wychłodziły, czy to świętość ubrała go już w takowe anielstwo, nie wiem, ale i pogany patrzyły na niego, jakby na cudowne zjawisko. Chan, jeno spojrzął na ojca Pawła, zaraz wpadł w jakoweś pomieszenie. Zaczął oczy spuszczać, kręcić się, namyślać, potem rękę wyciągnął i powiedział: „Odprowadźcie tego człowieka tam, skąd wyszedł. Nie róbcie mu nic złego. Ten człowiek już nie należy do nas, ale do Boga”. I my na własne oczy obaczyli, jak ojciec Paweł nazad wszedł do swej komórki. Tatarzy nie śmieli go dotknąć, a my płakali z radości – zakończył giermek, widząc, że uspił ostatnich słuchaczy.

---

<sup>36</sup> *zapustny* (daw.) – związany z zapustami, tj. hucznie i wesoło obchodzonymi ostatnimi dniami karnawału. [przypis edytorski]

<sup>37</sup> *ochędstwo* (daw.) – tu: majątek, mienie ruchome. [przypis edytorski]

Po kilku dniach pochodu nastął odpoczynek, i to odmienny od poprzednich. Porozbijano wielkie wojskowe namioty, strażę zaczęły klasyfikować jeńców według wieku i przydatności. Gruchnęła wieść, że właśnie tu nastąpi podział niewolników. Na wszystkich padł śmiertelny strach. Dotychczasowa niewola wydała się niczym w porównaniu z tym, co dopiero miało się zdarzyć.

W ogromnym zamieszaniu, jakie towarzyszyło porządkowaniu obozowisk, powstawały śmiałe przedsięwzięcia. Wielu jeńców podjęło próbę ucieczki, zwłaszcza tych młodszych i silniejszych. Tylko fale Prutu na ziemi i obłoki na niebie wiedziały, czy dopłynęli do drugiego brzegu i czy doszli kiedyś do swoich. Wśród uciekinierów był giermek Sylwester.

Ludmiła chciwie zbierała wszystkie wieści. Najzuchwalsze zamiary snuły się w jej myślach. Nawet Elżbieta, owa wiotka, drżąca istota, gotowa była na wszystko. Całymi godzinami mogły wynajdywać i obmyślać tysiączne sposoby ucieczki, ale najczęściej kończyły rozmowę przygnębione i zniechęcone. Po głębszym przemyśleniu każdy plan okazywał się niewykonalny. Pewnego wieczora Elżbiecie wpadł do głowy nowy pomysł:

– A może tak wciągnąć w nasz spisek Wasyngę?

Na podstawie słów, czynów i usposobienia można było stwierdzić, że Wasynga stanowił mieszaninę sprzeczności, która mogła uczynić prawdopodobnymi najśmielsze zamierzenia. Z początku zdawał się nieubłagany i srogi jak rodzony<sup>38</sup> Tatar. Gdy kazano, siekł i krajał ludzi; ręka mu nie zdrząła ani powieka nie zamroczyła się łzą. Potem biegł do swego namiotu i przed świętymi obrazami bił pokłony z najgłębszą skruchą, z najpłomienniejszym nabożeństwem. Branki długo zaglądały w jego duszę i nie mogły zrozumieć zagadki, jaka się w niej kryła. Okazało się, że Wasynga ma córkę, ośmioletnią drobną dziewczynkę, Dżjafirę. W czerwonej spódniczce, niebieskim gorsecie i złocistym diademie na główce kręciła się między jeńcami ponura i milcząca. Rysy miała wyblakłe, raczej nieładne. Dusza jej była stargana widokiem okropności, na jakie nieustannie musiała patrzeć. Branki nie pojmowały, jak ojciec mógł ją narażać na podobne doświadczenia, jak mógł ją wlec za sobą między zgrają szatanów. Aż kiedyś, podczas rozmowy, Wasynga sam wyjaśnił im tę przerażającą tajemnicę.

– Moja Dżjafirka – rzekł – przeznaczona jest do chańskiego dworu. Jeżeli, oczywiście, wyrośnie tak pięknie, jak to sobie nasi panowie obiecują. Dałby wielki Bóg! Jeśli nie, to mam nadzieję, że dostanie się jakiemuś znakomitemu wodzowi. A mnie przyrzeczono, że do śmierci będę przy niej służył.

– Więc wy także jesteście niewolnikami! – stwierdziły zdumione kobiety.

– Niewolnikami... Właściwie trudno powiedzieć; w każdym razie nie takimi jak wy – odpowiedział Wasynga z rodzajem dumy, która mogłaby się wydać śmieszna, gdyby nie była bolesna. – Przed trzema laty – ciągnął żołdak – mieszkałem jeszcze w moim własnym domu w Samarkandzie<sup>39</sup>. Żona mi zmarła; została mi tylko Dżjafirka, toteż miłowałem ją więcej niż słońce i złoto. W Samarkandzie byli bogatsi ode mnie, choć i moje kupczenie szło nieźle. Nawet niańka Dżjafirki nosiła srebrne zausznicę. Jak przyszli Tatarzy<sup>40</sup>, zostawili nam naszych sędziów i włodarzy. Ale kiedy przyjeżdżał baskak, mały chan, zmieniał sędziów, zbierał podatki według własnej mądrości, i to nie tylko w skórach, sztabach, ale i w ludziach. Przez kilka lat przyjeżdżał do nas bardzo łaskawy baskak. Wziął naprzód podatek dla chańskiego skarbu, potem dla siebie samego i odjechał wesół. Ale trzy lata temu przyjechał, na moje utrapienie, inny. Trzeba nieszczęścia, że mu Dżjafirka wpadła w oko. Uśmiechnął się i powiedział: „Będzie z niej piękna dziewczka. Biorę ją dla wielkiego chana”. Mnie w oczach pociemniało. Tłumacząc, że ona jeszcze mała, że jedno tylko mam

<sup>38</sup> *rodzony* – tu: rdzenny; *jak rodzony Tatar* – jak człowiek urodzony i wychowany w kulturze tatarskiej. [przypis edytorski]

<sup>39</sup> *Samarkanda* – jedno z najstarszych miast Azji Środkowej, dziś na terytorium Uzbekistanu. [przypis edytorski]

<sup>40</sup> *Tatarzy* – tu: Mongołowie; w ściślejszym znaczeniu: grupa plemion koczowniczych żyjących w średniowieczu na terenach Mongolii, siłą podporządkowanych przez Czyngis-chana. W Polsce od XIII do XVIII w. nazwa ta oznaczała koczowniczych najeźdźców ze wschodu (początkowo byli nimi Mongołowie, później Tatarzy Krymscy). [przypis edytorski]

dziecko... Nie mogłem go przekonać. Leżałem u jego nóg, obiecując, że jeśli zostawi mi Dżafirkę, oddam wszystko, co posiadam. Zniecierpliwiony baskak zabrał mi wszystko, nawet szubę, w jaką się przystroiłem na jego przybycie. Potem kazał spalić dom, włożył na wozy moje mienie, a na ostatni wózek wsadził córkę. Wtedy padłem do jego nóg, wołając, aby i mnie zabrał. Zaśmiał się. „Dobrze, ale musisz być posłuszny, za każde twoje przewinienie odpowie dziecko”. I oto już trzy lata jeżdżę z tatarskimi panami. Nieraz bywało, że kiedy kazali mi bić ludzi lub na śmierć męczyć, wzdragałem się i płakałem, a panowie szydzili: „Kto inny rozkaz wykona, ale ty już Dżafirki nigdy nie zobaczysz”. Robię wszystko, co każą...

– Nieszczęsny! – westchnęła Elżbieta z głębokim współczuciem.

Wasyl spojrzał na nią okrągłymi, przepelnionymi bólem oczami, padł jak długi na ziemię i trzy razy czołem uderzył:

– Jesteście jedynymi istotami, które mogą mnie rozumieć – mówił szlochając. – Jeńcy patrzają na mnie jak na dzikie zwierzę. O, czcigodne niewiasty, wielkie jak święta Zofia...

Odtąd Wasyl coraz częściej się zwierzał. Kiedy zbliżyli się do Prutu, niewiasty знаły już dokładnie historię żołdaka i jego córki.

– Żal mi biednej Dżafirki! Wielki strach mnie bierze o jej przyszłość – rzekła Elżbieta.

– Czemu? – zapytał zaniepokojony ojciec.

– Bo życie okupione mękami tylu ludzi nie może mieć boskiego błogosławieństwa.

Wasyl wzruszył ramionami i wyszedł nieco urażony. Jednak po godzinie wrócił. Kręcił się koło brank, patrzył spod oka, to na nie, to na córkę, aż wreszcie zapytał:

– Więc mówicie, że Dżafirka nigdy nie będzie szczęśliwa?

– Ja tego nie mówię – zaprzeczyła Elżbieta – tylko boję się...

– Ale przecież ona niewinna. Ja dla niej grzeszę, to prawda. Dobrze wiem, że to grzech okropny, kiedy chrześcijanin pomaga poganom i swoich męczy. Ale oddać ją Tatarom...

– Mój kochany Wasyl, posłuchaj. Wszystko, co dotąd robiłeś, Bóg ci przebaczy, bo rzeczywiście nie miałeś innego sposobu na ratunek. Ale gdybyś miał szansę uciec od pokus, a nie uciekłybyś i grzeszył dalej, wtedy Bóg ci nie przebaczy.

– Uciec? Łatwo gadać, ale jak to zrobić?

– A jak zrobili ci, którzy w tych dniach uciekli? Przecież są tacy, których nie złapano, sam mówiłeś. Tobie łatwiej zbiec niż komu innemu, bo jesteś wolny, ciebie nikt nie pilnuje. A gdybyś uciekł z Dżafirką? Gdybyśmy razem uciekli? – Kiedy Elżbieta wymawiała te słowa, usta jej drżały, a serce biło młotem. Ludmiła była biała jak chusta.

Wasyl też pobladł. Patrzył to na jedną, to na drugą jak człowiek, który się budzi ze snu.

– Nie wolno takich słów wymawiać; ludzie mogą usłyszeć, trawa słyszy, powietrze słyszy – szeptał. Potem położył palec na ustach i wyszedł, zostawiając branki w niepewności.

Wieczorem pojawił się z jakimś niezrozumiałym, dziwnym wyrazem twarzy. Przyniósł wieszak, wprowadził branki do namiotu, zapuścił starannie wszystkie wojłoki i kilka razy obejrzawszy się z trwogą, zapytał:

– Po co wy mi o takich rzeczach gadacie? Człowiek nabija sobie głowę bajkami i traci spokój. Przypuśćmy... przypuśćmy, że wracam z Dżafirką do Samarkandy. I co dalej? Nie ma tam ani mego domu, ani majątku. Może przyjechać *baskak*, rozpozna mnie i co robić? Lepiej się zaraz powiesić.

– Wasyl – odparła Elżbieta – byłbyś chyba człowiekiem pozbawionym rozumu, gdybyś powracał do Samarkandy. Czyż to nie ma innych krajów?

– Jakich? – pytał z niedowierzaniem żołdak.

– Powiedz nam, gdzie teraz jesteście i jaka ziemia leży za tą rzeką?

– Jesteśmy w Kumanii, gdzie mieszkali Połowcy<sup>41</sup>, dopóki ich Tatarzy nie wypędzili. Teraz ta cała kraina świeci pustką. Po drugiej stronie Prutu, jeszcze na kilka dni drogi, ciągnie się Kumania, a potem, pomiędzy górami, zaczyna się Baszkiria<sup>42</sup>, gdzie mieszkają Ugry.

– Węgry! Węgry! Ojczyzna królowej Kingi! – zawołały branki z radością. Nazwa Baszkirii nie była im obca, bo sami Węgrzy uważali się za Baszkirów i to miano przyjmowali bez urazy.

Ale radość niewiast nie trwała długo.

– Tam także nie warto się chronić – stwierdził Wasynga. – Nasi panowie są mądrzy. Oni jadą na Węgry od takiej strony, skąd się ich nikt nie spodziewa – od waszych ziem. Za pół roku albo i za miesiąc zwałą się tam.

– Prawda, ale zanim tam przyjdą, można przez Węgry uciec dalej – zaproponowała Ludmiła.

– Jak to dalej? Czy jest jakieś „dalej”?

– A jakże! Przecież za Polską i Węgrami ciągnie się ogromne cesarstwo niemieckie, dalej Francja, Włochy, a z boku Hiszpania. Jest w czym wybierać! Przecież Tatarzy od razu wszystkiego nie podbiją.

---

<sup>41</sup> *Połowcy* a. *Kumanowie* – altajski lud, posługujący się językiem z grupy kipczackiej; od VIII w. wędrowali z rejonu dzisiejszego Kazachstanu na tereny obecnej Ukrainy, w XII w. wyparci przez władcę Rusi Kijowskiej za Don i Wołgę, wchodzili w koalicje z książętami ruskimi, ich wodzowie wżeniali się w dynastie panujące w Serbii, Węgier i Bułgarii, ale także organizowali najazdy na te ziemie. W następnych wiekach zasymilowali się wśród ludów Złotej Ordy. Połowiecki dostojnik, sprzedany w niewolę do Egiptu, założył tam dynastię rządzącą w latach 1250–1382. [przypis edytorski]

<sup>42</sup> *Baszkiria* – ziemia w zachodniej części Azji, w 1236 roku została podbita przez Tatarów i weszła w skład Złotej Ordy. [przypis edytorski]

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.